MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 5. WARSZAWA, 2 LUTEGO 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

BŁĘDNA POLITYKA

NIEMCY nie ukrywają swych planów politycznych. Z niezliczonej ilości oświadczeń przedstawicieli rządu i wszystkich stronnictw, z artykułów uczonych, publicystów i dziennikarzy, z wypowiedzeń się działaczy społecznych, gospodarczych i kulturalnych wynika z całą oczywistością, że naczelnym postulatem polityki niemieckiej jest to, co się w Niemczech nazywa rewizją postanowień terytorjalnych Traktatu Wersalskiego, a co w dobrej polszczyźnie nazwać należy rozbiorem Polski.

Niemcy nie ograniczają się do jasnego postawienia programu, tak by go doskonale znali i rozumieli swoi i obcy, prowadzą oni dobrze obmyśloną i planową akcję, zmierzającą do osiągnięcia zamierzonego celu, osłoniwszy ją pięknie, po genewsku i lokarneńsku brzmiącym frazesem o poprawie granicy polsko-niemieckiej „na drodze pokojowej". A więc rozwijają umiejętną propagandę we wszystkich krajach świata — możnaby już wyliczyć szereg książek o sprawie t. zw. „Korytarza", poczynając od książki poważnego dziennikarza angielskiego p. Donalda. Artykułów zaś w miesięcznikach, tygodnikach i dziennikach było już dobrych kilka setek. Poruszają też zagadnienie polsko-niemieckie na wszystkich kongresach, konferencjach i spotkaniach międzynarodowych; mamy wszak świeżo w pamięci pielgrzymkę katolików francuskich do Berlina i wystąpienia wobec niej ks. Ulitzki.

Na terenie Ligi mobilizują Niemcy „mniejszości" narodowe, oraz starannie przygotowują „ożywienie" istotną treścią art. 19-go, mówiącego o możności rewizji traktatów przez Ligę Narodów. Gorliwie pracują nad rozbrojeniem, pojmując je przedewszystkiem jako rozbrojenie państw, których się obawiają, a więc w pierwszej linji Francji. Podpisują gorliwie wszelkie pakty i traktaty pacyfikacyjne, rozumiejąc, że wzmożone poczucie bezpieczeństwa ułatwi akcję rozbrojeniową, co z kolei prowadzi do przesunięcia stosunku sił na ich korzyść. Starają się o wzmocnienie siły żywiołu niemieckiego i stanu posiadania niemieckiego na terytorjum polskiem, które w ich mniemaniu jest spornem (Umowa polsko-niemiecka z dnia 31 października r. ub.). Budują fortyfikacje na pograniczu z Polską... Wyliczenie to prowadzićby można dalej. To jednak, na co powyżej zwrócono uwagę chyba wystarcza do stwierdzenia, że polityka niemiecka zmierza jawnie i otwarcie do rozbioru Polski. Jest również rzeczą oczywistą, że polityka ta będzie pracowała ze wzmożoną energją po dniu 30 czerwca, to znaczy po wyjściu Francuzów z Moguncji.

O tem wszystkiem wie cały świat, tego nie dostrzega tylko rząd polski. A może dostrzega, lecz uważa widać, że najlepszą taktyką jest udawanie, że tego nie widzi i nie słyszy.

Bo głucho o polityce rozbiorczej Niemiec w oświadczeniach rządowych i w prasie rządowej. Nie dochodzą do nas wieści o kontrpropagandzie biur prasowych polskich (są zajęte czem innem). Nie możemy dostrzec, by nasza polityka zagraniczna liczyła się z akcją niemiecką i systemowi niemieckiemu przeciwstawiała swój system obronny.

Co więcej, rząd polski robi posunięcia, które świadczą, że nie bierze wcale pod uwagę tego, do czego prowadzą ich następstwa. Oto kilka przykładów.

Dla polityki niemieckiej jest rzeczą potrzebną wywołanie poczucia bezpieczeństwa w Europie; przedstawiciele Polski prześcigają się w entuzjazmie dla paktu Kelloga i dla gwarancyj podobnego ro-

dzaju. Niemcy dążą do uwolnienia Nadrenji, bo wiedzą, że wówczas będą mieli wolne ręce w polityce rewizyjnej — Polska nie robi nic, by opróżnienie Nadrenji odroczyć lub choćby zyskać jakieś rękojmie zastępcze. Niemcy zmierzają do wzmożenia swej żywej siły na terytorjum naszem — Polska idzie im w tem na rękę (układ z 31 październik). Niemcy wyzyskują prąd liberalno-pacyfistyczny w polityce międzynarodowej dla swoich planów, bo nauczył ich p. Stresemann, jak wielkie z tego prądu wyciągnąć mogą korzyści — przedstawiciele Polski płyną bez zastrzeżeń z tym prądem, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, gdzie ich ten prąd niesie...

Dzieje się w polityce, jak w grze szachowej: zręczny gracz, mając plan zgóry ułożony, zmusza przeciwnika do posunięć i gry, ułatwiającej mu wykonanie planu, a gdy nieopatrzny przeciwnik pozwoli grę sobie narzucać, gdy szeregiem nieopatrznych ruchów ułatwi wykonanie planu, wówczas usłyszy z ust zręcznego gracza groźne „szach". Zapóźno wtedy bywa na obronę i po szachu następuje mat. Ten obraz nasuwa się z nieprzepartą siłą, gdy się spogląda na politykę polską. Zapatrzona w cele fantastyczne, robi posunięcia zgodne z nierealnemi planami, nie widząc, co niesie ze sobą przyszłość najbliższa. Jeśli tak dalej pójdzie, to przebudzenie będzie tragiczne, bo przeciwnik zajdzie tak daleko, że trzeba się będzie chwycić ostatecznych środków obrony, które są bardzo kosztowne i bardzo ryzykowne.

Psychologja kierowników polskiej polityki zagranicznej, zastraszający u nich brak wyobraźni politycznej ilustruje znakomicie układ z dn. 31 października, w którym Niemcy uzyskują ustępstwa polityczne, potrzebne dla nich w przeprowadzeniu ich planu zasadniczego i osiągnięciu celu głównego, a tego właśnie nie widzą i nie rozumieją politycy polscy.

Ta polityka ślepoty i zamykania oczów na rzeczy najważniejsze i najbliższe, polityka nie licząca się z niebezpieczeństwem głównem i uważająca za mądrość najwyższą pomijanie milczeniem zamiarów niemieckich, czy może wierząca w możność porozumienia z Niemcami i na gruncie obecnego układu terytorjalnego, zaszła już bardzo daleko.

Można jeszcze nawrócić z wytkniętej przez nią drogi, lecz czasu na to już nie zostało zbyt wiele, bo po 30 czerwca będzie to o wiele trudniej, niż jest obecnie. Dlatego to wysuwa się dziś zagadnienie polityki zagranicznej Polski na plan pierwszy; dlatego to powinna się niem interesować opinja publiczna więcej, niż czyni to obecnie.

STANISŁAW KOZICKI

W WIELKIEM MOCARSTWIE—MAŁA POLSKA

OBECNĄ konjunkturę międzynarodową cechuje postępowy renesans potęgi niemieckiej oraz postępowy paraliż potęgi sowieckiej. Na takiem tle „mocarstwowa parcelacja" [1]) Państwa Polskiego na trzy wielkie, autonomiczne obszary narodowościowe, do której dążą nasi federaliści, rzekomo śladami jagiellońskiej Rzplitej, zagraża wręcz odwrotnym niźli ongi, wewnętrznym układem sił w domniemanej nowej Unji.

Nie my, oswobodzeni od niemieckiej zmory, silni, zamożni i oświeceni, protegowalibyśmy obszary wschodnie przed groźnem niebezpieczeństwem moskiewskiem. Przeciwnie, zważywszy, iż nowa Unja mogłaby dojść do skutku jedynie jako wynik upadku i rozbioru Rosji, zważywszy dalej, iż rozbiór bardzoby Moskwę osłabił i właśnie na skutek osłabienia na tem większe wystawiłby ją niebezpieczeństwo ze strony żółtej Azji,—sfederowane z nami ościenne ludy wschodnie mniej mogłyby być zagrożone z tamtej strony, niźli my sami od niemieckiego zachodu. A że przytem gorzej, niźli przed wiekami, przedstawiałaby się także proporcja innych czynników naszej w Unji przewagi, (bo zwłaszcza na polu gospodarczem dalecy jesteśmy od rozkwitu i od Niemców zależni), przeto nie jest trudno przewidzieć, kto kogoby na pasku w takim politycznym związku poprowadził.

Od łyczka do rzemyczka: pchnąwszy silnie naprzód „pionjeryzm" narodowościowy oraz parcelację odwiecznego polskiego. stanu posiadania we wschodniej części państwa, bylibyśmy zmuszeni okupić „pospolite ruszenie" ziem ukrainnych i białoruskich, w naszej obronie przeciwko Niemcom, ceną analogiczną do tej, którą nam one zapłaciły ongi za poparcie przeciwko Moskwie. Więcej nawet, za samo tylko powstrzymanie się od wrogich przeciwko nam konszachtów z Niemcami, wypadłoby już zapewne zaofiarować tę samą cenę: połączenie naszej dzisiejszej Rusi Czerwonej i Białej z państwami ruskiemi, któreby miały się oderwać z pod moskiewskiego jarzma i wejść w związek z nami.

Jasne jest, że w tym wypadku „zgodne pożycie" żywiołu polskiego z ruskim, szybko i skutecznie musiałoby ustąpić miejsca dążności do przepędzenia nas poza San, Bug i Niemen. Powstałaby wówczas „rzeczpospolita narodów", wielkie mocarstwo, takie wszelako, któreby Polskę zepchnęło w wydłużony, wąski kojec naszego obszaru etnograficznego, złowiłoby ją jak w więcierz rybacki z wąsko-otwartą na Bałtyk północną szyją pomorską. Śmiertelnie stłoczony w owym kojcu Naród Polski stanąłby u kresu takiej dziejowej wędrówki z wynikiem politowania godnym. Utraciwszy niepowrotnie w wiekach średnich nadodrzańską połowę swego naturalnego terytorjum, lekkomyślnie oddawszy nabytą za Rzplitej szlacheckiej połowę zabużańską, sam miałby przed sobą przyszłość już chyba tego tylko typu, co przeludnione i przeindustrjalizowane małe kraje Belgji lub Saksonji.

---

[1]) Patrz artykuły w №№ 53 i 56 „Myśli Narodowej" w grudniu 1929 r.

Tego rodzaju obrót rzeczy nie jest przez naszych „mocarstwowców” przewidywany i jak się zdaje, nie należy do urzędowego programu. Układ z Petlurą zawarowywał wyrzeczenie się z jego strony pretensyj do naszej Rusi Czerwonej, która wzamian za polską pomoc w utworzeniu Ukrainy Naddnieprzańskiej, miała po wsze czasy pozostać pod bezpośredniem zwierzchnictwem Państwa Polskiego. Ale logika rozwojowa powoływanych do życia sił dziejowo-twórczych narzuciłaby ewolucję taką właśnie, jak naszkicowana powyżej. Unja pomiędzy Państwem Polskiem, z któregoby autonomicznie wyodrębniono północne i południowe ziemie ruskie, a państwami ruskiemi, jakieby się oderwać miały od Moskwy, nosiłaby wszelkie cechy formacji przejściowej w kierunku dla nas fatalnym.

Gdyby istotnie bolszewizm zżarł potęgę moskiewską tak dalece, że jej rozkład państwowy stałby się nieunikniony, gdyby istotnie powstać miały i jakie takie uzdolnienie do samoistnego politycznego bytu ujawniły dzisiejsza Sowiecka Ukraina i Białoruś, gdybyśmy uznali za wskazane stan ten utrwalić i politycznie z nim współdziałać, to „mocarstwowa parcelacja“ naszego obecnego państwa mogłaby wprawdzie przedsięwzięcie takie zewnętrznie ułatwić, ale zarazem zaostrzyłaby jego niebezpieczną obosieczność. Natomiast rozważna i silna polityka popierania polskości na naszych ziemiach wschodnich, z jednej strony zabezpiecza nas przed ewentualną ukraińską *irredentą*, z drugiej zaś bynajmniej nie uniemożliwiłaby ewentualnego politycznego współżycia z niepodległą Ukrainą i Białorusią, gdyby one kiedykolwiek powstały. Przeciwnie, nasza subjektywna pozycja w takiem domniemanem przymierzu byłaby tem silniejsza, gdybyśmy naszą kresową polskością na sprzymierzeńców promieniować mogli. Byłaby też tem silniejsza, gdybyśmy wobec nich i wobec Moskwy osiągnęli niezbędne *minimum* swobody ruchów, przy pomocy równoległego rozwoju sojuszów i bezpośrednio osłaniających nas przed Niemcami.

Z naciskiem zaznaczyć należy, że wyzyskanie możliwości, jakie w tym względzie istnieją na południo-zachód od Karpat, stanowi warunek, który jedynie pozwalałby rozszarzyć system sojuszów wschodnich na Ukrainę i Białoruś Sowiecką, bez nadmiernego ryzyka, a z należytą obustronną użytecznością. Tylko wtedy bowiem, jeżeli system sojuszów naszych rozkategoryzujemy według wyodrębnionych pól działania, gdy jedne z nich służyć nam będą (i my sami służyć im będziemy) na froncie zachodnim, przeciwniemieckim, inne zaś, (łącznie z odpowiednią częścią naszych sił własnych) przeznaczone zostaną do podtrzymywania równowagi we wschodniej części Europy, powstać może budowa polityczna harmonijna, wolna od tarć i niebezpieczeństw, oraz naprawdę z historyczną Ideą Jagiellońską zgodna. Budowę tę rozpoczynać należy przedewszystkiem od tej strony, skąd silniejsze idzie zagrożenie i gdzie materjał na sojuszników leży gotowy w skrystalizowanych już a współzagrożonych państwach. Pierwsza myśl zatem i pierwszy czyn należą się frontowi zachodniemu. Dopiero gdy on zostanie wystarczająco uodporniony, użytecznem dlań uzupełnieniem staćby się mogły również nowe ruskie sojusze na wschodniej naszej granicy. Swoją wobec nas obosieczność utraciłyby one dopiero wtedy, jeśli nie będziemy liczyli na ich współdziałanie przeciw Niemcom, odwrotnie zaś sami okazać będziemy zdolni pewną pomoc Ukrainie i Białej Rusi.

Polityka, utwierdzająca polskość naszych obecnych ziem wschodnich, tylko wtedy mogłaby stanąć na przeszkodzie porozumieniu z usamodzielnionemi kresowemi republikami Z. S. R. R. gdyby zwyrodniała w jakieś brutalne, hakatystyczne tępienie kulturalnych odrębności naszej ludności obcojęzycznej. Jest to zupełnie wyłączone.

Rozważna zaś narodowa polityka polska ma to do siebie, że nas ubezpiecza na wszelkie ewentualności przyszłej konjunktury wschodniej, zarówno takie, które rozmarzają naszych federalistów, jak też i inne, dotąd bynajmniej nie wyłączone. Federalizm opiera się li tylko na jednostronnem przypuszczeniu rozkładu Rosji. Wewnętrzna jej ewolucja w czasach ostatnich to przypuszczenie zdaje się popierać, wszelako może się jeszcze stać zgoła inaczej. Wystarczyłoby zapewne, ażeby „opozycja prawicowa“ sowiecka, w sojuszu z włościaństwem, obaliła Stalina i przyparta do muru, przyjęła „kapitulacyjne“ kondycje Lloyd George'a z konferencji genueńskiej r. 1922, ażeby szybko otwarła się przed Rosją perspektywa ocalenia i odrodzenia. Gdyby zaś odrodziła się potężna, mocarstwowa Rosja, to mogłaby się ona stać dla Polski użyteczna w wypadku, gdyby została silnie związana w Azji przez nacisk odrodzonych mocarstw żółtych. Wprawdzie posiadałaby tam Moskwa naturalnych sprzymierzeńców w anglo-sasach, wszelako jeśliby nacisk żółty przekroczył pewną miarę, wówczas moglibyśmy się stać dla Moskwy niezbędni, jako jej osłona przed Niemcami i separatyzmem ukraińskim (pokój brzeski). Wówczas też moglibyśmy liczyć na życzliwe z nią współdziałanie zewnętrzno polityczne, jak też w stosunku do obustronnych obcoplemieńców. W takiej, najpomyślniejszej dla Polski konjunkturze, polityka „mocarstwowej parcelacji”, wewnętrznie szkodliwa, okazałaby się bezcelową ze stanowiska międzynarodowego. Gdyby natomiast cywilizacyjnie wyemancypowana Azja za korzystniejsze dla siebie uznała całą siłą zwrócić się na morze przeciw anglo-sasom, szukając równocześnie porozumienia z Moskwą, wtedy ta ostatnia potęga znów mogłaby, zwróciwszy się na zachód, stać się dla nas niebezpieczną. Ale i wtedy moglibyśmy nowej ofensywie wschodniej skuteczniej stawić czoło, trzymając mocno ziemie wschodnie w ręku polskiem i gospodarując w nich umiejętnie, niźli stłaczając się w naszym „kojcu“ etnograficznym, ażeby kosztem wyrzeczenia się najistotniejszych życiowych naszych potrzeb, przelicytowywać Moskwę wobec naszych własnych obcoplemieńców i pozyskać łaskawe ich obronne, przeciwrosyjskie z nami współdziałanie.

Jasne jest, że jedynie bezpieczną, dla państwa korzystną i wskazaną, jest taka tylko polityka, która się daje przystosować do wszelkich od woli naszej niezależnych, a dla nas ważnych zmian, jakie mogą nastąpić w pobliżu naszych granic, nie zaś taka, która kosztem największch narodowych ofiar kroczy naprzód, lunatycznie zahypnotyzowana jednym tylko, przez jej wyznawców upragnionym zwrotem. Przypuszczalna chęć współdziałania, poparcia, przyśpieszenia tego zwrotu nie usprawiedliwiałaby tej polityki wcale, gdyż współdziałać tu możemy tylko za cenę zanadto dla nas wygórowaną, zasadniczo zaś o losie Moskwy bynajmniej nie rozstrzygającą. Nie od dobrej woli sowieckich ukraińców i białorusinów zależy ich oderwanie się

od Moskwy, lecz przedewszystkiem od tego, co w samej Moskwie nastąpi. Nie usprawiedliwiałaby również obecnej polityki mniejszościowej chęć pozyskania Litwy Kowieńskiej, bowiem i to zależy przedewszystkiem od niezależnego od nas, w jej głównym zrębie, stanu potęgi moskiewskiej oraz od naszego zabezpieczenia wobec Niemiec. Ryzykowna zaś pod adresem Kowna kokieterja federalistyczna z naszej strony — wpada w próżnię. Gdybyśmy kiedykolwiek osiągnęli wobec Litwy rękę wolną, to kraj ten mógłby i powinien wejść w skład naszego państwa, na warunkach oczywiście odrębnych i specjalnych, ale też równocześnie służących odrodzeniu potężnej do niedawna polskości tamtejszej, jako i na obecnych naszych ziemiach wschodnich. Polska prężność ekspansyjna, ludnościowa, gospodarcza i kulturalna jest na tyle wielka, że gdyby ją szczerze popierało dobrze gospodarujące rodzime państwo, niewątpliwie nastarczyłaby na suwerenne owładnięcie całym kompleksem ziem i ludów, nieodzownym dla trwałej żywotności Wielkiej Polski. To wielkie mocarstwo, narodowe i polskie, objąć powinno cały nasz obecny terytorjalny stan posiadania, a ponadto Litwę Kowieńską, Mazury Pruskie, Gdańsk i Śląsk Opolski. Ten obszar winien, w perspektywie narodowej i państwowej ekspansji, pozostać „rezerwatem" na rzecz polskości. Stanowi bowiem minimalną ramę przestrzenną, oraz dostarcza *minimum* warunków komunikacyjno-gospodarczych i wojskowo obronnych, koniecznych jako terytorjalny fundament żywej siły narodu, powołanego do wielkomocarstwowych zadań.

Budowa takiej to Wielkiej Polski, od wewnątrz i od zewnątrz, winna stanowić najpierwszy i najważniejszy cel polskiej polityki państwowej. W myśl bowiem dodatnich, zarówno jak i ujemnych naszych doświadczeń dziejowych, dopiero dookoła takiego samoistnie potężnego, zarazem narodowego i mocarstwowego jądra, rozwijać się powinna i może z dobrym skutkiem działalność komasacyjna międzypaństwowa, w duchu dobrze zrozumianej Idei Jagiellońskiej, działalność harmonizująca interesy i kojarząca potęgi w celu ustalenia bezpieczeństwa od zewnątrz. Nie wynika stąd, ażeby tę drugą działalność należało ruszyć z miejsca dopiero po osiągnięciu pełnej realizacji ściślejszego narodowo-terytorjalnego programu. Przeciwnie można i trzeba posuwać się naprzód na obu linjach, byle we właściwym kierunku, wewnątrz i zewnątrz państwa, uzgodniając kroki przedsiębrane tak, by się one wzajemnie wspomagały. Jednakże federalizm zdrowy, racjonalny, historycznie doświadczony i uzasadniony mógłby mieć przed sobą doniosłe i piękne zadania dopiero nazewnątrz wyżej określonego, polsko-bałtyckiego obszaru. Polityka natomiast „federalistyczna", która za punkt wyjścia obrała sobie „mocarstwową parcelację" naszego obecnego, jeszcze niedoskonałego stanu posiadania, na wszelki wypadek i wszechstronnie „gwarantuje" katastrofę.

Źródła polityczne, impulsy psychiczne i taktyczne polityki tej są, jak już częściowo o tem pisałem, dość rozmaite. Psychika „niepodległościowo-mocarstwowa" szczególnie wrażliwa jest na błyskotliwy efekt pozorów, sentymentem zaś i temperamentem pokrewna opłakanym, anarchicznym ideałom staroszlacheckiej, „złotowolnościowej" demokracji. Stąd fałszywa interpretacja dziejów dawnej Rzplitej, ujęta przedewszystkiem od strony ówczesnej teorji, ówczesnego sentymentu, ówczesnych złudzeń oraz wykoszlawień zmysłu państwowo-twórczego, nie zaś od strony istoty rzeczy, z której zresztą dziś już łatwiej, niźli w wieku XVII, zdać sobie można sprawę. Bezwątpienia jednak jeszcze silniej przyczynił się do krystalizacji programu i realizacji polityki „federalistycznej" wzgląd praktyczny, konkretny, taktyczny, który na tem polega, że ani lewica, ani zrodzona z niej „sanacja" polska, w Narodzie Polskim nie mogą liczyć na trwałe poparcie większości. Idąc zaś wbrew niej, usiłują stanowisko swe umocnić przez przymierze wewnętrzno-polityczne, zaofiarowane obcoplemieńcom za cenę „federalizmu". Stąd wypłynęła pierwotnie obecna polityka „mniejszościowa", zmierzająca z jednej strony do partyjnego pognębienia większości polskiej, z drugiej zaś oparta na złudzeniu, że można wszystkich obcoplemieńców tak w Polsce uszczęśliwić, by ideały ich własne utraciły dla nich wszelki powab i by wobec skierowanych przeciwko Polsce knowań „mniejszościowych" niemieckich i sowieckich okazali bezwzględną odporność.

Polityce tej towarzyszył w czasach ostatnich konsumencko-lewicujący „kurs" ekonomiczny. Gdy doprowadził do zupełnego a bolesnego dla społeczeństwa niepowodzenia, wyłoniły się zeń najświeższe przejścia naszego życia państwowego, przedstawiające epizod już tymczasowo zamknięty, lecz niezmiernie dla polityki mocarstwowo-federalistycznej znamienny. Znaczna część zasadniczych i taktycznych właściwości i niebezpieczeństw tego systemu zogniskowała się w nim *en miniature*, jak w soczewce. Warto więc tym wydarzeniom poświęcić j e s z c z e d o d a t k o w ą c h w i l ę u w a g i.

Pod naciskiem opresji prawicowej, oraz ciężkiej w następstwie wewnętrzno-politycznej sytuacji kół odpowiedzialnych, postanowiono ratować się przez układ z Niemcami, który gdyby doszedł do skutku, rokował nadzieje przyśpieszonej infiltracji obcego kapitału do kraju. Nie powtarzając poprzedniej (z Nr. 53 r. ub.) krytyki tego kroku w związku z polityczno-strategicznym wymarszem mocarstw wielko-kapitalistycznych przeciwko Rosji Sowieckiej, zaznaczyć należy, iż ów układ rokował nadzieję nietylko przyśpieszonej infiltracji kapitałów do kraju, ale również pewnego, raczej pozornego wprawdzie, złagodnienia niemieckiej przeciwko nam ofensywy politycznej. Na tle zaś przeciwsowieckich dążeń kapitalistycznej koalicji tembardziej zdawał się zapowiadać szerszą niż dotąd swobodę ruchów Polski w kierunku wschodnim. Układ zbiegł się w czasie z jednej strony z takiem stadjum rozwoju wewnętrznej polskiej polityki „mniejszościowej", które wywołało silne zaniepokojenie polskiej większości narodowej oraz zadowolenie prasy „sanacyjnej" z osiągniętej już jakoby z obcoplemieńcami zgody. Z drugiej zaś strony wypadł ten układ w czasie, gdy w pogranicznych sowieckich republikach ruskich zarysowała się już wyraźnie ewolucja w stosunku do tej zgody poniekąd odwrotna: wystąpiły tam mianowicie niedwuznaczne i wcale ostre objawy separatyzmu wobec „proletarjackiego" imperjum. W tych republikach, gdzie jeszcze przed paru laty miejscowi komisarze sowieccy wyrywali sobie włosy z głowy z powodu biernego oporu urzędników, inteligencji i mieszczan przeciwko popieranemu z Moskwy językowi miejscowemu, obecnie wypadło rozwinąć wytężoną działalność G. P. U. w celu wyłowienia i masowej deportacji na Sołówki grup ludności, organizujących się pod hasłem wystąpienia Ukrainy i Białorusi ze Związku sowieckiego. Zwrot taki nastąpił zapewne nietyle z motywów patrjotycznych, ile poprostu z chęci wyratowania się z gospodarczego i spo-

łecznego piekła, w jakie coraz bardziej zamienia życie swoich poddanych Sowiecka Moskwa. Zarazem jednak być może, że „pionjerystyczny" kurs „mniejszościowej" polityki za kordonem polskim wywarł też pewien wpływ atrakcyjny, symulując w ten sposób pewnego rodzaju swój triumf. Jego efektownym objawem stały się przeciwsowieckie manifestacje naszych rusinów, w szczególności protest naszej ukraińskiej frakcji sejmowej przeciwko sowieckim represjom na Ukrainie.

Prasa moskiewska zapieniła się z wściekłości przeciw „faszyzmowi" polskiemu, władze zaś tamtejsze nie omieszkały zorganizować kontrmanifestacyj w republikach kresowych. Ożywiły nawet działalność agitacyjną na naszym gruncie, gdzie zresztą lwowski konsul Z. S. R. R. nie od dziś już konkurował z polskim kursem „mniejszościowym" o względy miejscowej ludności ruskiej na rzecz Ukrainy Sowieckiej.

Cały ten rozgardjasz bynajmniej nie martwił obozu „sanacyjnego", aczkolwiek wątpić nie wypada, że powstał bez inspiracji bezpośredniej. Co więcej, ożywienie nastąpiło również na naszym północnym wschodzie: ryski wywiad p. Hołowki, jego korektura przez „sanacyjny" dziennik wileński co do aktualności autonomji dla Wileńszczyzny, wreszcie wileńska gra wojenna, wszystko to, łącznie z objawami ruskiemi, nie mogło nie wywoływać wrażenia, że ugoda polsko - niemiecka automatycznie aktywizuje Polskę na froncie wschodnim, w charakterze forpoczty koalicji wielko - kapitalistycznej.

To wrażenie nie ujawniło się wprawdzie tam, gdzie mogło być dla Polski względnie pożądane, t. j. w Kownie, natomiast do reszty zaalarmowało Moskwę, postawiło ją na nogi i wywołało z jej strony ostrą reakcję. W Mandżurji pchnięto czemprędzej armję czerwoną na Chajłar, by wybrnąć z absorbującego siły sowieckie na oddalonym froncie impasu, względnie by utorować sobie drogę do dalszej skutecznej kontrofensywy azjatyckiej przeciwko koalicji zachodnich mocarstw kapitalistycznych. P. Karachan zaś ruszył do Berlina z kontratakiem dyplomatycznym. Rzecz oczywista, iż nie mógł Niemcom lepiej doradzić, jak tylko by się z ugodą polską wstrzymali do czasu ewakuacji Nadrenji, gdy będą mogli silniejszy na nas wywrzeć nacisk. Równocześnie mógł zaofiarować Niemcom nowy sowiecki wysiłek w Chinach przeciwko mocarstwom zachodnim, dla Niemiec dogodny wobec konferencji haskiej. Chińskiej ofensywy Moskwa nie zdołała wprawdzie należycie rozwinąć, niemniej jednak Niemcy zostali przekonani i pozyskani o tyle, że gdy jeszcze dr. Schacht p. Karachanowi swem wystąpieniem (zapewne niezależnem) dopomógł, można uważać śmiało, iż polska rachuba na szybki sukurs finansowy zagraniczny oraz na wolną rękę na wschodzie prysła jak sen. W tymże czasie zaś zaszedł w naszem życiu wewnętrznem drugorzędny, lecz niezmiernie znamienny fakt solidaryzacji „mniejszości" ruskich i litewskiej wobec rewizji konstytucji, niewątpliwie dla działań w duchu federalistycznym, jako też tychże „mniejszości" w sejmie *votum* nieufności dla protegującego je tak gorąco rządu. Czarna, ale jakże wymowna niewdzięczność, dająca przedsmak ewentualnej ewolucji w przyszłości..

Impas zamknął się ponownie i powstała konjunktura pana Bartlowa, zmierzająca do podziału ciężarów i odpowiedzialności z sejmem.

A jednak... Gdybyśmy nie tak dokładnie na obie łopatki byli położeni finansowo, gdybyśmy byli odporniejsi na głód kapitalistyczny, to biorąc pod uwagę naprężenie niemiecko - rosyjskie, można było nie kapitulować na kredyt przed grożącą ewakuacją Nadrenji i nie śpieszyć się nadmiernie do ugody z Berlinem na warunkach drastycznych, lecz postawić właściwą cenę tym, komu zależy na włączeniu nas we front wielko - kapitalistyczny. Nie mówiąc jednak już o tem, nawet jeszcze na podstawie owej ugody „pomorskiej" można było widma sojuszu z Rapallo nad głową Polski, a na niemiecką korzyść w Hadze, ponownie nie prowokować, przy pewnej powściągliwości od ratowania „sanacyjnego" *prestige*'u gorączkową pogonią za natychmiastowym sukcesem na wschodzie. Można było przeciwnie moskiewską obawę przed blokiem kapitalistycznym, oraz bloku tego wobec Moskwy dążenia, taktycznie zużytkować dla wzmocnienia naszego stanowiska wobec zachodu i Niemiec.

Raz jeszcześmy sobie uprzytomnili, że dopóki ściana niemiecka nie jest obwarowana, dopóty nietylko na zachodzie ale i na wschodzie żadnej rzeczywiście mocarstwowej polityki prowadzić nie jesteśmy zdolni. STANISŁAW SZCZUTOWSKI

RACJONALNE—IRRACJONALNE

„Die Ernagbarkeit der Welt im letzten Sinn an einem Glauben hängt".
JERZY SIMMEL

I

O CZYNNOŚCIACH ludzkich i ich pobudkach, czyli zachowaniach się, powiadamy, że są dla nas niezrozumiałe wtedy, kiedy wywołują zdziwienie, niepokój, wyrażający się pytaniem: „dlaczego?" Skoro odpowiedź jakaś niepokój ten stłumi, skoro potrzebę pytania „dlaczego" stracimy, to postawa owa staje się dla nas zrozumiałą — mówimy o niej, że ma „sens, rację". Są też inne zachowania się, które już w momencie postrzegania zrozumiałe są dla nas, t. zn. że ze stanu równowagi nas nie wyprowadzają. Jeśliby kto zapytał o nie „dlaczego", to czujemy, że pytanie to jest zbędne, że odpowiedź na nie byłaby czystym pleonazmem — są one same sobie racją, uzasadnieniem.

Mamy więc zachowania się ludzkie (cudze i własne, o ile sami siebie jakoby z zewnątrz oglądamy) jedne odrazu, bezpośrednio zrozumiałe dla nas, i te nazwijmy „intuicyjnie racjonalnemi"; i inne, które zrozumiałe stają się wtedy dopiero, kiedy ktoś (przedewstkiem ich podmiot) wykaże nam, że są one, lub mają być w zamierzeniu obserwowanego osobnika, sposobem do osiągnięcia innego zachowania się (wzgl. biernego doznawania) już bezpośrednio zrozumiałego — i te nazwijmy „dyskursywnie racjonalnemi"; pierwsze nie potrzebują „racjonalizacji" — drugie domagają się jej. Racjonalizacja jest to odszukanie powodu, „racji" zachowania się, początkowo niezrozumiałego (lub usprawiedliwianie jego przez odnośny podmiot). To, co jest powodem, przyczyną celową postępowania, ulegającego racjonalizacji, nazwijmy „podstawą racjonalizacji". Z punktu widzenia podziału na treść i formę, czyli na „to, co się wyraża" i „to,

co wyraża", podstawa racjonalizacji będzie treścią postępowania, racjonalizowanego, to — formą owej.

Postępowanie ludzkie, które nie jest bez powodu — postępowanie takie zrozumiałe jest dla nas logicznie, więc jest ono, powiedzmy tak, „logicznie, formalnie, racjonalne". Ale może być ono dla nas niezrozumiałe uczuciowo, nie dajemy nań „przyzwolenia" swojego, więc aczkolwiek nie bez powodu jest ono, to jednak powód ten nie jest dla nas zrozumiały, czyli nie jest ono, według nas, „racjonalnem co do treści", czyli „merytorycznie". Inaczej: jest ono „merytorycznie nieracjonalnem". Słowo „nieracjonalne" ma charakter wartościujący, używamy go w tendencji ganiącej.

Postępowanie logicznie racjonalne, czyli mające wogóle powód jakiś, zmierzające do jakiegoś celu, może się jednak okazać, ze względu na cel ów, źle obliczonem, nietrafnem, czyli nie będzie ono „rzeczowo racjonalnem". Racjonalność „rzeczowa" odpowiada celowości wewnętrznej postępowania, „merytoryczna" — zewnętrznej.

Czy zachowanie się jakieś racjonalnem jest „intuicyjnie" i „merytorycznie" — to zależy od dowolnej oceny obserwatora (lub samoobserwatora)— ta racjonalność więc ma charakter subjektywny. Czy zachowanie się jakieś ma w ogólności powód poza sobą, czy nie, to sprawa ściśle faktyczna, przedmiotowa. Podobnież ściśle przedmiotową kwestją jest, czy użyte środki zmierzają faktycznie do danego celu; racjonalność więc „formalna" i „rzeczowa" mają charakter objektywny. Postępowanie „dyskursywnie racjonalne" identyczne jest z „formalnie racjonalnem", tylko „dyskursywność" oznacza sposób, w jaki doszliśmy do jego zrozumienia, oznacza to, że nie było ono zrozumiałe od początku. Racja podana może nie być jeszcze zrozumiałą; wtedy z kolei poszukuje się nowej racji i t. d. — słowem powstaje „łańcuch racjonalizacji".

Obserwujemy czyjeś postępowanie, które wydaje nam się dziwaczne, szkodliwe nawet dla tego osobnika, a przynajmniej niebezpieczne, a którego powodu odnaleźć nie zdołaliśmy. Postępowanie takie nazwiemy nierozumnem, szalonem i t. p. — będzie ono, zdaniem naszem „nieracjonalne merytorycznie", bo jest niebezpieczne i „nieracjonalne formalnie", bo jest bez powodu.

Ale może być i tak: postępowania owego osobnika nierozumiem w znaczeniu logicznem, bo nie znam jego powodu i wydaje mi się ono dziwnem, tajemniczem. Ale przecież nie nazwę go szalonem, nierozumnem, słowem „nieracjonalnem" (merytorycznie) — owszem to postępowanie z jakichś, dla mnie samego niezrozumiałych, pobudek, podoba mi się. Jak właściwie, ze względu na pojęcie „racjonalności", tego rodzaju postępowania czyjeś lub nawet własne nazwać? Nie nazwiemy go — powtarzam — „nieracjonalnem". bo postępowania owego nie ganimy — „racjonalnem" ono nie jest, bo nie jest dla nas zrozumiałe — więc jak? Sądzę, że będę zgodny z powszechną intencją językową, jeśli dla postępowania takiego użyję nazwy „irracjonalny". „Irracjonalne" jest to, co nie jest zrozumiałe, ale nie jest naganne, „nieracjonalne" to, co jest i niezrozumiałe i naganne.

Nietylko do niezrozumiałego w ludzkich zachowaniach się (albo wogóle zachowaniach się jestestw przez nas antropomorfizowanych) odnieść się możemy ganiąco lub pochwalnie: toż samo i ze zrozumiałem. Nieprawda, że „wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć" — to jeden z przesądów moralnego defetyzmu! Mogę np. doskonale zrozumieć, dlaczego ktoś „sprzątnął" swego przeciwnika— t. zn. dowiedziawszy się o powodach tego, wcale potrzeby nie czuć o cokolwiek więcej pytać, — a mimo to uważać to za potworne. Między czynnościami więc „merytorycznie racjonalnemi", czyli zrozumiałemi ze względu na swą treść, jedne są chwalebne („dobre"), inne naganne („złe").

Ale jakie to? Przecież dopiero co, za zachowanie się „merytorycznie racjonalne" uznaliśmy takie, które jest dla nas „uczuciowo zrozumiałem", czyli więc takie, na które poniekąd przyzwalamy, z którem się jakby utożsamiamy. Ale właśnie przyzwolenie to, to utożsamianie się z czynnością czyjąś, uczuciowa na nią zgoda — może być albo częściowa tylko, jakimś tylko fragmentem mojej osobowości, albo też utożsamienie się to, przyzwolenie to, ta zgoda uczuciowa, nastąpić może pełnią osobowości. Mogę przecież dobrze wczuć się w stan wygody, jakiego doznali zbrodniarze, pozbywszy się człowieka, którego się obawiali, ale zarazem cała reszta moich uczuć będzie się temu zdarzeniu, uczuciom zbrodniczym tamtych stanowczo sprzeciwiać. Zbrodnia owa, będąc zatem „merytorycznie racjonalną" pozostanie naganną — nie otrzyma ona mego przyzwolenia pełnią osobowości, czyli „moralnego". Zastrzeżenie to, że postępek „racjonalny" może być „moralnie złym" wcale nie jest zbędne: bo z jednej strony mamy cały wielki kierunek etyczny, usiłujący utożsamić „dobre" i „racjonalne" (kierunek t. zw. „sokratyczny", u nas Witold Rubczyński)—a z drugiej strony nie rzadko przecież spotykamy ludzi, którzy, jak tylko postępkowi jakiemuś przyznali racjonalność praktyczną, (merytoryczną), to już ocena moralna gdzieś się podziała: to są właśnie ci, dla których „interes górą, cel uświęca środki", dla których „zrozumieć", to już koniecznie „przebaczyć"!...

Dopiero co podałem przykład postępku, który, zrozumiały dla nas praktycznie, czyli „merytorycznie racjonalny", w najmniejszej mierze nie korzysta z naszego przyzwolenia moralnego. Ale teraz wyobraźmy sobie jakiś wypadek wprost odwrotny, t. zn. „merytorycznie nieracjonalny", ale moralnie przyzwolony.

„Pięknem i mądrem będzie dziecię, którem poczęła w tej godzinie,
— Niechaj dziecko raczej w twojem łonie zginie
O luby, przecz słowu dałeś wyjść strasznemu?
— Li tylko to, co nie istnieje, nie podlega złemu!"...

(*Tetmajer*)

Stanowisko króla Salomona jest ściśle racjonalne, merytorycznie biorąc. Wszak dać życie nowej istocie jest olbrzymiem ryzykiem — ryzykiem na rachunek cudzy, na rachunek właśnie najdroższej istoty, której życie zawiniło się. Pomimo to postępowania tego nie oceniamy, jako „złe", owszem, jako „dobre". Cenimy mianowicie tę jakąś „wiarę w możliwości", to wyzwanie, rzucone życiu przez istoty, dające życie nowym istotom. Kto tego uczucia nie pojmie, ten jeśli czuły jest na cierpienia ludzkie, musi, logicznie rzecz biorąc, płodzenie dzieci uznać za nieracjonalne i złe. Nieracjonalne, bo niezgodne z tem oczywistem założeniem rodziców, że pragną tylko dobra dla swoich dzieci — a to dobro jest przecież rzeczą tak niepewną; złe — bo popełniane dla swojej przyjemności, z egoizmu. A jednak płodzenia dzieci naogół nie potępia się, mówi się o „irracjonalnym porywie odwagi życiowej", jako o czemś, co jest wartościowe samo w sobie. Mamy tu właśnie wzór postępowania, z pewnych ważnych względów dla samych-

że działających niezrozumiałego, na które jednak moralnie przyzwalamy. Dlatego też określimy je nie jako „nie" — lecz jako „ir-racjonalne".

*

„Racjonalizować" to znaczy: mając dane wątpliwe wykazać, iż jest ono fragmentem oczywistego. Skłonność do racjonalizowania będzie to „racjonalizm"; „racjonalistą" więc tego nazwiemy, który dostrzegając, z jednej strony, więcej niż ktoś inny niepewności, posiada, z drugiej strony, pewien zasób pewności niewzruszonych, do których niepewności owe potrafi (lub mniema, że potrafi), sprowadzić. Gdyby ten człowiek miał same tylko niepewności, bez jakiegoś zasobu pewnościowego — to byłby to organiczny sceptyk, nałogowy wątpliwiec. Racjonalista stara się jaknajwiększą ilość rzeczywistości umieścić w jaknajmniejszej ilości schematów. To wynika z definicji — bo skoro on mniej pewne sprowadza do pewniejszego, a to znów do najpewniejszego, to oczywiście zmniejszać się musi nie tylko ilość rzeczy niepewnych, lecz i liczba rzeczy pewnych; albowiem gdyby ta liczba nie zmniejszała się, to mogłoby się zdarzyć, że ilość rzeczy pewnych zrównałaby się z ilością niepewnych lub nawet przewyższyła ją, co byłoby sprzeczne z założeniem, charakteryzującem racjonalistę. Racjonalista więc pełnię zadowolenia osiągnie, jeżeli uda mu się całą rzeczywistość wyprowadzić z jednego elementu, świat wywieść z jednego korzenia, normy postępowanie z jednej zasady. Racjonalista przeto zawzięcie logizuje i w logizowaniu tem pokłada wysoką ufność.

Ale znów ktoś inny nie będzie ani racjonalistą, ani sceptykiem — nie będą przeważały u niego wątpliwości (czy to zgoła bez żadnego podkładu, czy to z jakimś podkładem pewnościowym) — lecz rzeczy pewne. On wobec tego będzie racjonalizował (logizował) w stopniu znacznie mniejszym, niż racjonalista (lub sceptyk, który też racjonalizuje ząwzięcie, ale bez skutku, czyli raczej usiłuje racjonalizować) — on nie będzie odczuwał potrzeby jednorodnego obrazu świata. Typowe tego rodzaju nastawienie życiowe przejawi się w odpowiedzi Goethego na pytanie: „co jest obowiązek?": „Wymogi dnia". Odpowiedź ta suponuje, że wobec zdarzeń codziennych pojawi się u człowieka, jako reakcja, cały szereg postaw pewnych t. j. subjektywnie zrozumiałych, którym naogół już zgóry udziela się przyzwolenia moralnego—a wobec tego zbędne okazuje się tworzenie gotowej, jednolitej zasady postępowania moralnego, co więcej przypuszcza się tu, że zasada taka jest do utworzenia niemożebna, czyli że skonstruowana, okazałaby się niedopasowaną do konkretnych potrzeb życia. Jak takie nastawienie życiowe, skłonność do takich nieracjonalistycznych postaw, nazwać? Müller-Freienfels tę etyczną decyzję Goethego przytacza, jako typowy przykład „irracjonalizmu". W myśl wywodów świetnego autora „Filozofji osobowości" racjonalizm to wszelkie porządkowanie rzeczywistości (teoretyczne, czy praktyczne), irracjonalizm to zgoda na nieporządkowanie (teoretycznie, czy praktycznie), strony rzeczywistości.

Dopiero co podana charakterystyka racjonalisty zgodna jest z intencją Müllera - Freienfelsa: [1]) porządkuje się, ustala, usztywnia, przy pomocy konstrukcji wiązań rzeczy źle siedzące, chwiejące się, niepewne. W świecie natomiast irracjonalisty jest cały szereg układów autonomicznych, które „sterczące osobno", więźby żadnej, żadnego porządkowania nie potrzebują, bo się samo przez się dobrze trzymają.

Ale tu oto wyłania się kwestja: więc irracjonalista to ten, który obfituje w pewności bezpośrednie, „intuicyjne"? Tak, to ten. — Ale w takim razie cechują go liczne zachowania się subjektywnie zrozumiałe, czyli, zgodnie z naszemi konwencjami, (subjektywnie) „racjonalne"? Tak. — Ależ wobec tego, dlaczegoż zwać go właśnie „ir" — nie zaś — „racjonalistą"?!... Ewentualnie, jeśli pierwszą będzie definicja irracjonalizmu, to czy nie należałoby przeprowadzić rewizji definicyj „racjonalnego" i pochodnych?

Rzeczy (w naszym wypadku zachowania się ludzkie) zrozumiałe bezpośrednio postanowiliśmy nazywać „racjonalnemi intuicyjnie". „Racjonalizacja" — to sprowadzanie rzeczy mniej zrozumiałych do bardziej zrozumiałych; — dąży więc ona ku rzeczom, które już żadnego więcej niepokoju nie budzą, które już bezpośrednio są zrozumiałe. „Racjonalizuję" więc, to znaczy: rzecz niepewną po drodze dyskursywnej (logicznej, intelektualnej) wyprowadzam sferę intelekt, ku rzeczy pewnej t. j. podanej przez „intuicję". W systemacie racjonalisty jest też ostatecznie jakieś „miejsce irracjonalne", punkt, którego już dyskurs przekroczyć nie może — tylko że jemu ta nazwa nie smakuje. „Racjonalne" i „irracjonalne" są to „*Grenzbegriffe*", djalektycznie zazębione. Dlatego też możnaby nie bez słuszności proces „racjonalizacji" nazwać procesem „irracjonalizacji" (możnaby też stworzyć neologizm „intuizacji"). Ale niech już nazwa przyjęta pozostanie, bo właśnie zdolności dyskursywnej czyli intelektowi raczej niż intuicji, zwykliśmy przydawać godność „rozumu" *(ratio)*.

Tu jednak wątpliwość: raz „irracjonalnem" nazywa się tu jeden rodzaj „niezrozumiałego" (niezrozumiałe nienaganne) — a znowu drugi raz, jak właśnie dopiero co, „irracjonalne" traktuje się jako „zrozumiałe"! Zdaje się zachodzić tu sprzeczność, aż nazbyt rażąca. Sprzeczność to jednak pozorna tylko; wynika ona stąd, iż dotąd nieokreśliliśmy dostatecznie dokładnie tego, co nazwiemy „irracjonalnem".

(D. c. n.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[1]) Nawiasem mówiąc, rzadko który Niemiec bywa tak nie napuszony, niedwuznaczny, tak trzeźwy w treści, tak elegancki i prostotny w stylu. Por: „*Persönlichkeit II. Weltanschauung, 1923, Philosophie der Individualität, II-ed. 1923, Irrationalismus, Lebenspsychologie*", i w. i.

GDZIE ZYSK?

PRZECZYTAŁAM „Bronzowników" i miałabym ochotę gadać z kimś o tem długo—skonfrontować swoje poczucie ze zdaniem innych jeszcze Polaków, umocnić się w przekonaniu, że nasz instynkt ma rację i wymyśleć jakiś ratunek, nie dla bronzu bynajmniej, tylko dla tego, co ten bronz wyrażał sto lat. Ale na dobrą sprawę (złą raczej!) już dziś na wszelką odsiecz zapóźno.

Prawda wyleciała wróblem, wróciła się — Boyem... Nie żarty! Któż niema boja przed Boyem?

W domu moich rodziców wiedziano o Ksawerze Deibel od dziesiątków lat. Po za dom jednak nie wyszło nic. Ot, *Menschliches*, *Allzumenschliches*, co przywarło do nieuważnych pielgrzymich podeszew, co najmniejszego związku z TWÓRCZOŚCIĄ Mickiewicza nie miało, co było tylko przypadko-

wym kleksem na jego bibule i co mogli mu jego potomni darować. Jedna z prawd, „o których mędrzec nie mówi nikomu“.

Lecz oto słowo się rzekło i to nie byle jak donośne. Tysiącem ciekawych uszu strzygą już różne strzygi, rzecz zatoczy się niechybnie pod wszystkie łóżka, niepodmiecione jeszcze czystą wiedzą. Nic nie pomogło milczenie kanap z matronami, ani dyskrecja sumiennych jegomościów. Skończyła się tajemnica. Ostatecznie, nie jednego Mickiewicza spotkała dekonfitura po śmierci. Przecież akurat w Paryżu, nie tak jeszcze dawno, rozmietli Francuzi kostki swojej świętej Genowefy, po tym samym bruku, którego od Hunnów broniła, a taki ją potem Puvis de Chavannes wymalował raz niemały w Panteonie — i dobrze jest. Czasem jakiś autorytet ostoi się, choć go i po bruku rozmiotą. Każdy jednak przyzna, że miotła to narzędzie dużo schludniejsze niż ludzki język.

Boy w „Bronzownikach“, mówiąc o Mickiewiczu, używa tam, gdzieby się było jeszcze onegdaj powiedziało: „postać“—słowa: „figura“. Wskazówka programowa i skuteczna. Tak, odtąd, ktobądź będzie już miał śmiałość do biednej podpitej figury, będzie podglądał, dworował, poufalił się. Bo Mickiewicz był w owej dobie całkiem jak ów Noe, zmorzony winnym napitkiem, którego się po pracy suche gardło dorwało.

„Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli, bośmy się Duchem Bożym tak popili...“—świadczy otwarcie Słowacki.

Dobrzy synowie udali, że nic nie widzą, a „idąc na wstecz“, przykryli starego chałatem. Tak stoi w Piśmie, tego samego chcieli „rodacy”, sprzysięgając się w milczeniu, dziwnie u Polaków szczelnem, latami. „Mów zawsze prawdę, ale czyż zawsze potrzebujesz mówić?“ — zauważa Budda.

Ale słowo się rzekło i nie będzie już siły, któraby zapobiegła dalszemu nicowaniu surduciny na „figurze”. Niema siły, któraby wróciła naszym wnukom ten stosunek do Mickiewicza, jaki łączył generacje przedwojenne z kolosem genjuszu i duchowym wodzem narodu. (Naród? Mój Boże, to przecie także, dla coniektórych, bronz, stary rocznicowy transparent, słowo już na wolności niepotrzebne). I kto z młodych, mając dziś wolny dostęp do podpitego, starszego pana, który się przez sen obnażył, kto, pytam, potrafi się zdobyć dla niego równocześnie na cześć, na poszanowanie bodaj? Gdzie auterytet, któryby rozstrzygnął, kto z familji Noego miał rację? Czy ten który nagość nieprzytomnego ojca podglądał, czy tamci, którzy — nie patrząc — przykryli go chałatem? Bo co sam Noe powiedział Chamowi, wiadomo.

I jaki jest pożytek, jaki zysk z tych synowskich podględzin? Nie nasz, to pewne. Ale cóż, w imię prawdy, bierze się dziś wszystko do ręki... *Nur für wissenschaftliche Zwecke,* — jak albumy z pikantną golizną.

Powiedział ktoś po śmierci Mickiewicza na emigracji, że „po wszystkiej wielkości utracie, naród nasz tą duszą jest wielkim“. Dusza! Otóż to właśnie. Można było dać spokój materji, przez taką duszę znoszonej. Nie dano. W kostnicach sławy coraz mniej robi się ceremonji z trupami... A jedyną racją dość ważną, aby grzebać we własności tak gromadzkiej, jaką jest Mickiewicz, byłaby nadzieja dojścia tym zabiegiem do podpatrzenia, nie golizny Noego, ale tajemnicy genjuszu, który zbudował arkę, wychytrzenia od jego natury szczepionki ratowniczej dla skrzepienia rasy, — czegoś, coby służyć mogło ku zbudowaniu a nie ku rozsypce... Ale takiej nadziei nie ma przecie żaden z wieszczowych ekspertów. Genjusz tajemnicy swojej nie wyda, bo jej nie zna sam — a badacze człowieczej nędzy zanieczyszczą tylko śpichlerz, który mógł żywić pokolenia.

Trudno, myśl ludzka jest jak mucha, siada kolejką na wszystkiem.

Ta sama Żmichowska, której tak słusznie wraca dziś Boy honory, powiada wyraźnie: „Potrzeba studjów psychologicznych nie usprawiedliwia tak niedyskretnej ciekawości“. „Studjujcie na tem, co wam ludzie w społecznym podatku sami złożą“— ale „od prywatnego życia, od moich najmojejszych wrażeń, bied, kłopotów, szczęść, lub błędów — wara — to moje”.

Naturalnie, cukrowy groch o betonową ścianę. Istnieją związki ochrony zwierząt, ale ochony duchów niema. A wystarczyłoby wobec niektórych nieboszczyków, takich zwłaszcza, co w społecznym podatku złożyli dla żywych skarb, samo pogańskie, proste: *de mortuis nil nisi bene.*

Lwów MARYLA WOLSKA

LIST

Strzelają w niebo topole, a dołem rozfalowane
kłosy pszenicy złotym płyną oceanem.
Nad miedzą jedwabną wielkie szafirowe oczy
dziesiąty raz zatonęły w ukochanem piśmie;
różowa się warga dziewczęca w upojeniu ciśnie
do świstka białego, do czarnej litanji najsłodszej.

O. dni cudowne, dni jedyne z życia, —
słońca ogromne wylęgłe z ukrycia. —
gdy się zdołało rzec sobie we dwcje:
— kocham cię, szczęście, ty i wszystko moje! —
Nieznane światy, urodzone nagle, —
przedziwnie modrą wodą mknące żagle, —
straszliwa dobroć obiecanej ziemi,
co zewsząd tuli ramiony złotemi
i w tak przemożną serce ima pieczę,
że — chcesz czy nie chcesz — płakać musisz, człecze!..

Zaszumiały zboża złote,
hymnem się kołyszą w pas,
hymnem na serc dwóch jednotę,
na zachwyceń kwiatogwiezdny wczas,

Poderwały się dwa motyle,
białemi błony chybocą
w napowietrznym błękitnawym pyle
ponad głową szczęsną, uroczą...

Rozechwiały się topole
jak olbrzymie kłosy....
Radosnemi, szemrzącemi włosy
chwalą rajską człowieka niewolę.....

Poznań STANISŁAW BĄKOWSKI

NA WIDOWNI

Gdzie inteligencja—gdzie lud? — Inteligencja z „loży“ patrzy na Polskę. — Niszczenie twórczości narodowej. — Genjusz i pianola. — Jak wygląda masonizowana literatura. — Etatyzowanie twórczości. — Niema czem zastąpić genjuszu narodowego.

Od czasu Zygmunta Krasińskiego przeżuwamy formułę: „Z szlachtą polską polski lud“, nie bardzo zastanawiając się nad tem, czy dość nakazująco to brzmi, żeby i szlachta była zawsze z ludem. Już Cyprjan Norwid robił Krasińskiemu (1863) zarzut, że zapomniał o sferze, która się nazywa „Inteligencją“. Dzisiaj o szlachcie trudno oczywiście mówić; zastąpiła ją całkowicie „Inteligencja“, która naogół jest demokratyczna i zaklina się, że jest z ludem. Ale jakoś nieszczególnie brzmi zmodernizowana formuła: „Z inteligencją polską polski lud“, czy odwrotnie. Jest prawdą, że lud w drodze naturalnego rozwoju kultury wpada w tropy szlacheckie, nie niszcząc w sobie instynktów i wiar, i godnie dziedziczy cywilizację, którą szlachta stworzyła. Inaczej przedstawia się stosunek między Inteligencją i ludem, gdy ona zmienić pragnie typ cywilizacji, kwestjonując dwa zasadnicze jej momenty: 1) Kościół 2) Naród.

Wracam ciągle do roli wychowawczej, jaką odgrywa góra społeczeństwa względem ludu, będącego przyrodą cywilizacji. Jakże się urządził znaczny odłam Inteligencji? Dając się uwikłać w sidła masonerji, albo odciął się od wpływów na lud, albo szerzy w narodowej cywilizacji spustoszenia. Według danych z r. 1926 na terenie Polski istnieje 15 lóż masońskich z obliczem polskiem. Poza tem są żydowskie i niemieckie. Każda z nich podzielona jest na sekcje, według specjalnych zadań. Sfery polityczne mają lożę Polską ogólną, która dąży do uzgodnienia dążeń zasadniczych masonerji w różnych (nieraz skłóconych) grupach politycznych. Wiemy, czem jest loża Łukasińskiego i jak wielką rolę odgrywa, zarówno ona, jak i pokrewna jej loża Traugutta. Dalej następują: loża Kościuszki, działająca między urzędnikami i pokrewna jej loża Staszica. Dalej — loża Mochnackiego (sprawy wschodnie i pograniczne), loża Sowińskiego (inwalidzi i in.), loża Kresów, loża Prawda (ekonomiczne), loża Światło (propaganda prasowa interesów kapitału żydowskiego), loża Wolność Przywrócona (nauka, szkoły, młodzież), loża Dyplomatyczna (tutaj Askenazy) i t. d.

Wyobraźmy sobie taki stan zdurnienia społeczeństwa, że cała inteligencja znajdzie się w lożach i nie napotka przeciwdziałania w obozie narodowym. Nie waham się wypowiedzieć przekonania, że wtedy Polska zeszłaby, jako państwo, z powrotem pod kamień grobowy historji. Nie można bowiem żyć, zaparłszy się osobowości i zatraciwszy kontakt z rzeczywistością polską, jaką jest lud. Naród nie może wyżyć, jak ordynarna duchowo jednostka, inspiracjami ducha międzynarodowego. Nieodżywiany instynktami z ziemi przez lud, wiarą ojców, ambicjami współzawodnictwa cywilizacyjnego, musi zwiędnąć, stracić oblicze i pójść na służbę do cywilizacyj obcych.

Trzeci już tydzień piszę o tem, jak źle pracująca duchowo, nie dorastająca do zadań „góra” Inteligencji, niszczy społeczeństwo: 1) daje zły przykład rozkładem etycznym, 2) zaniedbując kulturę myślenia politycznego, przesącza do społeczeństwa wpływy bolszewickie ze wschodu, 3) a teraz wypada mówić o specjalnem organizowaniu się Inteligencji w celu ogłupienia narodu i osłabienia jego energji rozwojowej. Bo to ma na celu masonerja, zostająca—pomimo różnorodności barw i sprzeczności w szczegółach — pod wspólnym kierunkiem sił nam obcych.

Dosyć wyliczyć reprezentowane w klubie parlamentarnym BB ugrupowania, aby widzieć, że możliwe jest na niskim poziomie kultury zjednoczenie sił, w życiu jawnem rozbieżnych, ale w tajnem życiu pogodzonych w imię jakichś celów ogólnych. Refleksja z tego przykładu płynąca, oświetla, jak reflektor, położenie społeczeństwa, które powinno z ufnością zawierzać się swojej „górze“, a jest mistyfikowane, a nawet siłą obezwładnione.

Nie będę wdawał się w sprawy czysto polityczne; z tego stanowiska, które zajmuję, widać równie dobrze zjawiska w dziedzinie kultury ogólnej, ściśle związane z procesami politycznemi, a tak rzadko w łączności rozważane. Chcę zwrócić uwagę na barbarzyńskie niszczenie twórczości duchowej przez „agentury obce”. Owo organizowanie się potajemne, tak lekkomyślnie oddające duszę inteligencji pod ster haseł międzynarodowych, nie mogłoby zająć się skutecznie kombinatorstwem na polu polityki, gdyby jednocześnie nie zasypywało źródeł narodowych natchnień czy uświadomień. To też życie literackie (nie tylko publicystyczne) planowo jest dezorganizowane. Plan taki łatwo się nasuwa, gdy hasło jest tak proste, jak walka z cywilizacją narodową.

Ponieważ oryginalna — twórczość jest osobista i pogłębia się w tonie i znaczeniu, gdy jednostka zlewa się z psychiką narodu,—łatwo zrozumieć, jaka płytkość staje się udziałem literatury, gdy ludzie masonizowani zaczynają ją wyrabiać z generalnego sosu jakichś ogólno-ludzkich, międzynarodowych mianowników życia, pozbawionych barwy polskiej, ale co ważniejsza — treści żywej.

Po co wytwarzać Szopenów i Paderewskich, kiedy pianola jest taka praktyczna? Ale nie pomyślą, że gdy się już wygra płody genjuszów narodowych, to co pianola zagra? O twórczości niema nic do powiedzenia gatunek, zachwycający się językiem Esperanto. Jak on się może wzruszać dramatem narodu, pochłaniającym jednostkę, gdy ideałem jego jest „dobro jednostki ponad wszystko“?

Tacy ludzie biorą się na lep haseł i stają do walki z odwiecznem prawem życia narodowego. Najgorzej im idzie w literaturze, gdzie trzeba się tłumaczyć z duszy, bo od tego jest literatura. Ponieważ propaganda najwięcej na nią liczy, więc obława jest na pisarzy i kombinowanie modnych lektur i modnych sposobów. Nastaje okres literatury fabrycznej, mnożą się warsztaty gramofonów i rośnie import gotowych płyt przy coraz gęstszem pośrednictwie żydów, jedynym autentycznym łączniku międzynarodowym, który na tym procederze zarabia jako naród, gdy wszystkie narody tracą.

Więc egzotyzm w powieści, aby wyrwać z kręgu swojszczyzny. Utalentowani z natury pisarze podróżują (kosztem funduszów publicznych), jak rajzenderzy i płodzą tandetę taką samą, jak ci, którzy siedząc w Warszawie piszą według map i starych powieści. Dla zachęty państwo wyznacza nagrodę, podnosząc ją specjalnie do 15,000 zł. na najlepszy utwór trzechlecia, ale zgóry wiadomo, że dostanie ją podróżnik X. I dostaje—pomimo

że dzieło nagrodzone jeszcze nie ukazało się w książce... A gdy się ukazało, czytelnicy się dziwią, że nagrodzono rzecz marną. Polacy są dość wybredni; mieli już takich powieściopisarzy, jak: Prus, Sienkiewicz, Kaczkowski, Dygasiński. Były tam i rzeczy egzotyczne, ale to były dzieła sztuki ludzi bogatych duchowo, nie wyroby rzemieślnicze.

Oto jest przykład, jak inteligencja się organizuje, ażeby niszczyć cywilizację. Nie tworzyć, lecz niszczyć. A niszczyć dlatego tylko, że ona niedogodna jest żydkom. Lud wydaje talenty i genjuszów, a inteligencja, ślubująca tyle ludowi, źródła twórczości zasypuje. Podejmują się takich robót profesorowie uniwersytetu. Literat, który się podejmie niszczenia ideałów cywilizacji polskiej, będzie premjowany, karmiony, a gdy nagrody i posadki nie wystarczają, a pisać nie ma czem z braku mózgu i serca, wtedy mu się da oficjalną „turę“ odczytową, aby bajdurzeniem mącił „kadź narodową“.

Wielkie cywilizacje mają ambicję, żeby wyhodować na swej glebie perjodyczne wydawnictwo, w któremby każdy widział oblicze żyjącego dniem bieżącym ducha narodu. Francja ma takie perjodyki dwa: *„Revue des deux Mondes“* i *„l'Illustration“*. Spłycenie życia umysłowego w Warszawie spowodowało, że uschły stare miesięczniki, a co się zrobiło z ilustracją, na której kształciło swój styl narodowy szereg pokoleń? Jaka była to była, ale to była wedle stawu grobla; a wedle czego jest dziś?

Bo trzeba organizować koło takich warsztatów siły twórcze, mające wiarę, że przez nie tworzy naród swoją myśl, dobudowujące życie w górę na fundamentach żywych, które sięgają ludu i jeden z nim mają styl. Wtedy praca w rękach rośnie, podczas gdy żadna pociecha z ilości i z blichtru zagranicznego. To samo z miesięcznikiem. Dać żyć, nie niszczyć pracy narodowej, a sama sobie zorganizuje formę. Administracyjnie, choćby za drogie pieniądze z funduszów państwowych, żywy organ myśli nie powstanie. Mamy teraz taki kwartalnik luksusowy i wartościowe nieraz prace przynoszący, ale nikt nie odpowie na pytanie, czem się te prace z sobą wiążą czy w celu swoim, czy w subjekcie tworzącym.

Perjodyk zaś, obawiający się uczuciowego kontaktu ze społeczeństwem, aby broń Boże nie przybrać zabarwienia swojszczyzny narodowej, nie tylko sromający się współpracownictwa ludzi z obozu narodowego, ale nie mogący zdobyć się na jedno słowo wynurzenia, co sam myśli i do czego dąży, taki perjodyk nie może być ani pługiem, ani reprezentantem kultury narodowej.

W każdą robotę trzeba tchnąć duszę indywidualną, w państwową — duszę narodu. Nic nie zastąpi genjuszu narodowego. Można go zmylić na krótko w polityce praktycznej kombinatorstwem mechanicznem, ale w twórczości duchowej nic się nie da podrobić.

Owe wydawnictwa przytoczyłem, aby zadość uczynić metodzie poglądowej. Nie o nie przecież chodzi, lecz o twórczość, której prawa są te same, czy się tworzy literaturę, czy największe z dzieł— cywilizację. Przenieśmy ten „sos generalny“ myśli, o którym wyżej, na twórczość polityczną, a przerazimy się na widok niebezpieczeństwa, jakie grozi Polsce. Bez suwerenności psychicznej narodu tworzącego twór będzie bez duszy i stanie się *res nullius* — do wzięcia.

DIGAMMA

GŁOSY

O ZAKASANYCH RĘKAWACH

W DNIU 20 maja 1926 p. W. Stpiczyński pisał („Głos Prawdy“ nr. 141):

„Zwycięski akt walki z łajdactwem, korupcją i złodziejstwem, jakiego dokonał Marszałek Piłsudski, otwiera pole do dokonania wreszcie sanacji pieniężnej i gospodarczej... Polska dla odbudowy i rozbudowy potrzebuje pożyczki zagranicznej... Ale do złodziei zaufania mieć nikt nie może i niema. Dzisiaj precz poszli... Gdy jednym wielkim rozmachem wyrzucimy, a potem wykorzenimy przekupstwo, korupcję i bezmyślność, budżet zaś zrównoważymy... Sejm musi być rozwiązany. Rząd musi jednocześnie uzdrowić aparat państwowy. Korupcjoniści, złodzieje, martwi biurokraci precz odejść muszą. Ministerstwa, urzędy, przedsiębiorstwa państwowe powierzone być muszą młodym, duchem zdrowym, tęgim głowom i rękom... Po wypędzeniu łajdactwa, trzeba zakasać rękawy, zapomnieć o urlopach, świętach, wypoczynku i jąć się.. pracy“ i. t. d.

W myśl tych wskazówek ideologa przewrotu, p. Stpiczyńskiego, Bank Gospodarstwa Krajowego powierzono p. gen. Góreckiemu. Aliści w d. 25 b. m. w Komisji budżetowej sejmu wyszło na jaw ze sprawozdań tego Banku, że p. Stpiczyński — pomimo wielkich dochodów pomajowych — był tam winien w lutym 1929 — 35.000 zł.

Wielkie wrażenie zrobiły rewelacje prezesa Klubu Narodowego prof. Rybarskiego, który przeczytał pozycje miljonowe sum, rozdanych przez gen. Góreckiego ciepłą ręką, bez porozumienia z Radą Banku, instytucjom, istniejącym na papierze i tym najbliższym, którzy dokonali „zwycięskiego aktu walki z łajdactwem". Istny podział łupu wojennego.

Tak wygląda wykonanie idej majowych p. Stpiczyńskiego. Są „zakasane rękawy“ i zdrowe ręce, ale do czego? P. minister Matuszewski, jeden z tych „młodych i duchem zdrowych“, stanąwszy w obronie gospodarki gen. Góreckiego, uznał za pożyteczne wszystkie wydatki, a nawet, że kredyt p. Stpiczyńskiego jest zabezpieczony. Od tego jest bank, żeby dawał pożyczki.

Ponieważ wszystko, co w pismach „sanacyjnych" (będących głosem prawdy) trzeba rozumieć odwrotnie, trudno darować p. Stpiczyńskiemu, oprócz zakasanych rękawów, cynizmu, z jakim zapowiedział: „trzeba zapomnieć o urlopach, świętach, wypoczynkach“... Nigdy jeszcze Polska tak nie świętowała, jak przy pobożności „sanacyjnej", nigdy tak nie podróżowała. Jedynym zdaje się większym czynem p. Świtalskiego był pobyt w Biarritz. A p. Miedziński, którego grobowiec świeci się wieczorami na placu Piłsudskiego? Także był młody i obiecujący.

REWOLUCJA MORALNOŚCI

PAN St. Starzyński, genjusz skarbowości, pisał („Głos Prawdy" nr. 143, 27 maja 1926):

„Stał się szczęśliwie fakt najważniejszy, najbardziej niezbędny dla przeprowadzenia sanacji skarbowej. Dokonana została przez Piłsudskiego zwycięska rewolucja moralności. Bohaterski wysiłek Wodza i Jego armji musi być dzisiaj całkowicie wyzyskany, aby moralność na stałe zatryumfowała“.

A w nr. 146 tegoż pisma z d. 6 czerwca 1926 podał dalej:

„Któż jest zwycięscą? Kto spowodował, że Wielki Wódz Narodu i t. d. Tym zwycięscą są szerokie masy ludowe, ulica, klasa robotnicza... Ten niezaprzeczalny fakt musi być podstawą i ideą przewodnią naszej polityki gospodarczej. Musimy zapomnieć o okresie identyfikowania pojęcia interesów gospodarczych narodu czy państwa z interesem grup kapitalistycznych...“

I kończy tę zapowiedź programu socjalistycznego:

„Ale tu przystanąć muszą najlepsi ludzie, ci którzy nie zawiodą ani Wodza Narodu Pierwszego Marszałka Polski, ani nowowybranego Prezydenta, który ma nam przewodzić w tej ciężkiej, lecz radosnej pracy budowania nowej Polski“.

Nikt nikogo nie zawiódł — możemy dziś powiedzieć. Znaliśmy się dobrze. Sądzimy też, że wybierano z pośród siebie najlepszych. Faktem jest jednak, że jest źle.

† KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

ZMARŁY w Krakowie ś. p. Kazimierz Bartoszewicz był wybitnym przedstawicielem umysłowości literackiej w Polsce popowstaniowej w jej przekładni z Warszawy na Kraków. Syn zasłużonego historyka Juljana przejął po nim wraz z bogatemi archiwami zamiłowanie w studjach biograficzno-historycznych. Patrzył na ludzi żyjących jak na wyobrazicieli dziejącej się spółcześnie historji i korygował ich satyrą.

Kazimierz Bartoszewicz był magazynem wiedzy o ludziach, a jednocześnie, jak mitraljeza naładowany pociskami. Miał wybitne poczucie wielkości, właściwie historykom, i to go robiło wrażliwym na ludzką małość. Na biegunie tych przeciwstawni wykwitał humor satyryczny. Organizacja więcej literacka niż czynna nie miała w sobie dostatecznego ciepła, którem ludzie czynni otaczają życzliwie to, co reprezentuje życie. Bartoszewicz był w satyrze niemiłosierny, nie dawał się przekupywać tkliwości. Ale taki był potrzebny w prasie 1870—1914, t. j. w okresie najżywszej działalności Bartoszewicza.

Urodzony w r. 1852, po skończeniu gimnazjum w Warszawie w r. 1870, udał się do Krakowa, gdzie ukończył wydział filozoficzny. Miał zamiar habilitować się na docenta historji literatury, ale temperament skierował go do publicystyki. W latach 1875 — 76 redagował „Szkice społeczne i literackie“, później humorystycznego „Djabła“, „Przegląd literacko-artystyczny“, „Kurjer Krakowski“, „Przegląd Literacki“. Pomysłów miał wiele, w wykonaniu łatwo się do nich zrażał, ale linję ogólną zachował. Wydał wiele szkiców literackich i historycznych. Wydał dzieła ojca swego w 12 tomach. Jego pracą jest zbiór „Perły humoru polskiego“ (1884 — 1892). Popularyzował dzieje powstania Kościuszkowskiego i Królestwa Kongresowego, wydał szereg pamiętników, monografję „Rok 1863“, „Utworzenie Królestwa Kongresowego“ (1916), „Dzieje Galicji“ (1917), „Radziwiłłowie“ (1927) i teraz przed samą śmiercią „Studjów i Szkiców“ t. I. Zbiory rękopisów i bibljotekę ofiarował miastu Łodzi.

Był w Polsce jednym z tych nielicznych twórców, którzy dziedziczą warsztat po ojcach. Zwykle u nas każdy pierwszy zaczyna i schodzi bezpotomnie. Kazimierz Bartoszewicz dziedziczył kulturę po ojcu i dziadzie. Odpowiada ta linja dynastjom Pawlikowskich i Kossaków. Ale się urwała na Kazimierzu.

Żegnamy w nim zasłużonego pisarza.

Z. W.

WYCHOWANIE NARODOWE

Z NASZEJ PROPAGANDY OŚWIATOWEJ

POKAZANO nam angielską broszurę propagandową p. t. „*Poland*“, zredagowaną bodaj że przez Instytut Oświaty Dorosłych na kongres oświaty pozaszkolnej w Cambridge i wydaną przez londyńską organizację „*The world association for adult education*“. Nieduża broszurka, omawiająca działalność towarzystw oświatowych w Polsce, wspomina w pewnem miejscu o instytucji domów ludowych i wymienia następujące organizacje społeczne, zainteresowane w powstawaniu domów ludowych w Polsce (cytujemy dosłownie po angielsku):

a) *The Ukrainian Educational Association Proswita (917 Folk Houses).*

b) *The People's School Association (132 Folk Houses).*

c) *The Association of White Russian Schools (41 Folk Houses).*

d) *The Polish YMCA (special house for young men in Kraków).*

e) *The Railway Workers' Trade Union (large building in Warsaw).*

A więc na pierwszem miejscu naszej broszury propagandowej wymieniono „domy ludowe“ ukraińskiej „Proświty“ z zawrotną liczbą 917, przyczem wszystkie inne domy ludowe w Polsce, nie wyłączając nawet domów (komunistycznego) Tow. Szkoły Białoruskiej, osiągają mniej niż piątą część liczby domów ukraińskich. Polskich domów ludowych (TSL., kolejarze i YMCA) mamy według tej oryginalnej statystyki zaledwie 134, t. j. $^1/_7$ ogólnej liczby.

Gdyby to nawet było prawdą—wstyd takie rzeczy drukować w broszurze propagandowej, ale — gdzież to podziały się domy ludowe Macierzy, Kółek Rolniczych i t. p.?

Ponad wszystko zaś — można podziwiać zdrowy humor w zliczaniu pod jednym mianownikiem licznych lepianek wiejskich, zwanych szumnie „domami ludowemi“ Proświty, z takim n. p. warszawskim pałacem Związku Kolejarzy, albo z pałacem krakowskiej „Imki“?!

Niby prawda, że z nazwy i to dom i to dom, ale — na co się komu przyda taka statystyka?

F. JÓZEFOWICZ

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Nakładem Instytutu Bałtyckiego w Toruniu wydane zostało studjum Adama Fischera, profesora uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, pod tyt. „Zarys Etnograficzny Województwa Pomorskiego“, ze skrótem po francusku i 45-ciu rycinami i tablicami.

Literatura polska o Pomorzu, a w szczególności o Kaszubach jest dość obfita, z pracami Bernarda Chrzanowskiego, Romera i Fischera na czele.

„Zarys Etnograficzny“ Fischera jest tak przez swą zwięzłość i żywość stylu, jak i plastyczność rycin, wymowny, że staje się niejako syntezą wiadomości i wyobrażeń o tej prastarej polskiej dzielnicy. Treść, doskonale rozłożona, podaje na wstępie opis obszaru etnograficznego, jego grupy etniczne i stosunek kaszubszczyzny do języka polskiego. Dalej przedstawia kulturę materjalną ludności, w opisie rybołówstwa, hodowli zwierząt domowych, uprawy roli, pożywienia, obróbki surowców, odzieży, budownictwa, sprzętów domowych i środków komunikacji. Odrębna, swojska, jest kultura społeczna i duchowa ludności. A więc ukazane są w opisie obrzędy narodzinowe, obrzędy weselne, obrzędy po-

grzebowe, zwyczaje doroczne i prawa ludowe, jako też wiara w demony, czary, wyobrażenia o przyrodzie, lecznictwo, opowieści, pieśni, widowiska dramatyczne, sztuka i zdobnictwo, gry i zabawy, tańce. Wszystko, co w swych źródłach uchodzi oczom letników, a przeważnie było i jest ogółowi polskiemu nieznane, wydobyte zostało na jaw i podane do czytania w sposób jasny i prosty.

Czytelnik znajduje się w tej książce obok autora, niby na przechadzce po Helu, w Wielkiej Wsi, Gdyni, w powiecie Tucholi, Starogardu i Chojnic. Bez tendencyjnych aluzyj, ale cyframi, pokazem źródeł językowych i spostrzeżeniami historycznemi stwierdza polskość Pomorza.

Czego zaś nie mogłoby domówić słowo, dopełniają swą obrazowością ryciny. Czy to widok portu na Helu i suszenie flonder, czy kaplic, chat, fragmentów domów i podsieni, ni, wyrobów koszykarskich, czepków, skrzyń i haftów kaszubskich.

Piękna ta i pożyteczna książka prof. Fischera stanowi część składową zbiorowego wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego, pod redakcją Józefa Borowika, wydawnictwa pod tyt. „Polskie Pomorze".

*

Koło Kielczan wydało nowy rocznik swego Pamiętnika za r. 1929. („Pamiętnik Koła Kielczan 1929". Warsz.-Kielce 1930. Str. 116: Cena zł. 6) Jest to już czwarty tom wydawnictw Koła. W roczniku tym znajdujemy następujące prace: 1. prezesa Koła prof. Bol. Markowskiego druga część studjum historycznego „Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach" (1818—1831), 2. Stefana Raczyńskiego szkic historyczny „O Wojciechu Bartosie Głowackim", 3. ks. Józefa Zdanowskiego „Kościół św. Trójcy w Kielcach" (z ilustracjami), 4. Z. Wasilewskiego „Żeromski w roli prokuratora" (listy z 1911 r.), 5. G. Wędrychowskiego nowela „Patrjota", 6. Juljusza Nowaka wspomnienia szkolne „Syzyfiana". Część drugą zajmują: kronika, sprawozdania Koła, nekrologi i t. p. Całość, wydana starannie, jest nader interesująca i wartościowa. Do nabycia jest w księgarniach.

Każdy, kto pośle czekiem na PKO nr. *12.310* Koło Kielczan (z podaniem adresu) zł. 6, — dostanie książkę pocztą.

*

Sensację w świecie literackim wywołał Jan E. Skiwski, świetny krytyk, wydając własne wiersze p. t. „Człowiek wśród potworów". Są to obrazki szkicowe, oparte na wrażeniach bądź literackich, bądź z obcowania z ludźmi. Ironja i humor z lekkiem zabarwieniem lirycznem. Forma wiersza nie przymuszona, jakby umyślnie zaniedbana. Wszystko robione w myśl hasła literackiego: „Poza wieszczbiarstwem i pedanterją", użytego przez autora za tytuł w słynnym zbiorze studjów krytycznych. Zdania co do wartości artystycznej poezji Skiwskiego są podzielone. Nie może jednak być sporu co do tego, że robią one silne wrażenie, jako owoc przeżyć rafinowanych i głębokich. Są też charakterystycznym objawem duchu czasu. Dawniej krytyk tej miary uważałby za ujmę dla swej powagi pisać wiersze. Dzisiaj nawet wierszom nie zawsze to szkodzi, że je pisze krytyk.

*

Edward Kozikowski, zatrudniony obecnie w dziennikarstwie warszawskiem, przypomniał czasy „Wymarszu świerszczów" (1925) w Beskidy i nadzieje gromady poetyckiej Czartaka—zbiorkiem p. t. „W towarzystwie wierzby". Nadziei tych osobiście nie ziścił. Stosunek do przyrody staje się coraz chłodniejszy; więcej tam kurtuazji, niż miłości. I ręka nie zapowiada artysty. Słodkie siesty po użyciu miejskiem.

*

Rocznik 26-ty „Pamiętnika Literackiego", kwartalnika poświęconego historji i krytyce literatury polskiej, a wydawanego przez Tow. Literatów im. Mickiewicza pod redakcją prof. Bron. Gubrynowicza, — zamknięty został obecnie zeszytem bardzo w treść bogatym. Na czele trzy rozprawy: St. Trojnara: Apokalipsa św. Jana w twórczości Słowackiego; Tad. Makowieckiego: Norwid wobec powstania styczniowego; Wiktora Hahna: Jan Zacharjasiewicz o poezji. W dziale materjałów znajdujemy dwa piękne zbiory listów i dokumentów do życiorysów Krasickiego i Norwida i kilka przyczynków drobniejszych. Wreszcie szereg gruntownych recenzyj i życiorys Kallenbacha.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niezliczona ilość zbrodniczych wypadków, znajduje przedewszystkiem głośne echo na szpaltach dzienników, ale kronika sądownicza zaczyna również coraz częściej służyć i pisarzom nietylko za drugorzędny temat, ale nawet niekiedy i za samo tło ich powieści. Do rzędu tych ostatnich należy właśnie utwór p. Jean des Vignes Rouges p. t. „*L'Accusateur*" (Flammarion èdit.). Akcja jego rozgrywa się w Ruen. Tam to bowiem zostaje przeniesiony na stanowisko adwokata generalnego Jacques Tallois. Jednakowoż Jacques pozostawia w Paryżu ukochaną kobietę, a jest nią Simone, żona wielkiego bankiera. Miłość młodych ludzi zaczyna przybierać charakter coraz bardziej dramatyczny, bo Simone — dla zerwania ciążących jej pętów — zdawała się być gotową na popełnienie nawet kryminalnego aktu względem swego męża. W tymże czasie Jacques zostaje powierzona właśnie w Rouen do obronienia sławna sprawa. Chodzi w niej o podejrzaną śmierć niejakiego p. Malzien, którego żona była kochanką Maurycego Vatrille, domniemanego jej wspólnika. Nie można się dziwić, że studjując tę sprawę, adwokat Tollois mimowoli myśli o sobie i o Simone. W miarę zagłębiania się w jej tajniki, konflikt w duszy młodego adwokata staje się coraz ostrzejszy, coraz boleśniejszy, zwłaszcza, kiedy przed sądem przysięgłych przyjdzie mu wypowiedzieć akt oskarżenia. I przed oczyma czytelnika przesuwają się bardzo ciekawe stronice, poświęcone właśnie całej procedule Sądu przysięgłych Zapoznaje się on z oskarżonymi, ze świadkami, z *jury* i sędziami, a równocześnie z psychologją adwokata generalnego, który ma oskarżać innych o to, o co sam siebie w głęki duszy obwinia. Tem więcej zaś, iż dowiaduje się, że w owym czasie mąż Simone nagle zachorował ciężko. Czyżby więc Simone, myśli sobie, dopuściła się wreszcie karygodnego czynu? Te wątpliwości sprawiają, że Jacques coraz bardziej walczy z własnem sumieniem. Wówczas zaś ten konflikt wewnętrzny doprowadzi go do ciekawego dualizmu: słowa i myśli. Słowem bowiem za chwilę oskarży inną istotę, myślą natomiast siebie. Djalog wewnętrzy staje się w momencie, w którym Jacques ma przeciwko winowajcy wypowiedzieć akt oskarżenia, domagający się śmierci, tak dramatyczny, że zamierza zerwać z ukochaną kobietą, wyrzec się jej, by w ten sposób opłacić haracz za własną niepopełnioną, ale pomyślaną winę. Djalog patetyczny trwa dalej, a równocześnie z ust adwokata, pozornie spokojnego, padają słowa wykwintnego krasomóstwa, których audytorjum z naprężeniem słucha. Książka to ciekawa, oznacza się zwłaszcza bardzo przenikliwą analizą uczuć i psychologji głównego bohatera. Niemniej jednak są interesujące nastroje, jakie autor odmalowuje w gmachu sądu przysięgłych i atmosfera przytłaczająca wewnętrznych dramatów.

*

„*L'Ame Obscure*" (Plon èdit.) jest powieścią, napisaną przez młodego autora, p. Daniela Rops'a. Bohatera jego, Blaise Orlier, poznajemy w zakładzie Saint-Anthelme, gdzie chłopiec ten już od dzieciństwa niemal jest nękany niepokojem, ucieka kilkakrotnie nocą do pobliskiego lasu, a wskutek podobnego prowadzenia się zostaje odesłany do domu rodziców. W ich towarzystwie bynajmniej nie odzyskuje równowagi, ale przeciwnie wzrasta jeszcze bardziej w jego duszy niezdrowa gorączka. Do niej przyczynia się również pobyt w miejscowości bagnistej, o smutnym krajobrazie. Blaise bierze udział w życiu prowincjonalnem, flirtuje z młodą mężatką, której mąż jest na wojnie, pierwsze rozczarowanie potęguje w nim egoizm, zamknięcie się w sobie, dumę, brak spontaniczności. Wszystkie te uczucia, wybijając piętno na jego charakterze, sprawiają, iż dusza jego, owiana niejasnością, będzie niezdolną do szczerych porywów i do szczęścia. Skoro bowiem po rozmaitych perypetjach, seansach spirytystycznych, przelotnych miłostkach, Blaise Orlier spotka młodą, pełną wdzięku panne Audry i zaręczy się z nią nawet, to jednakowoż dobrowolnie potem zburzy swe plany lepszej egzystencji, gdyż niezdolny jest do jej zrealizowania. Niektóre rozdziały „*L'Ame Obscure*" są ciekawe i dobrze psychologicznie ujęte. Do tych zaś należy przedewszystkiem odmalowanie kolejnych, niezdrowych środowisk, a także rozmowa z księdzem trapistą, usiłującym nadaremnie uzdrowić chorą duszę bohatera p. Ropsa. Jest on zresztą przedstawicielem całego zastępu innych, należących do współczesnej generacji, a na których wpłynęła ujemnie atmosfera najnowszych czasów, pełna niepokoju, braku równowagi ogólnej, a pozbawiona szerszych ideałów.

*

W „*L'Initiatrice aux Mains vides*" (Rieder èdit.) pani Jeanne Galzy poruszyła jeden z najboleśniejszych tematów, bo temat kobiety o sercu, przepełnionem miłością, a której nikt nie potrzebuje. Marie Pascal jest nauczycielką w Liceum. Uczenice swe lubi, interesuje się niemi bardziej, aniżeli zwykła nauczycielka. Stara się też poznać ich młodociane dusze i rozwinąć ich serca, Marie Pescal specjalnie jednakowóż interesuje się małą Annette Rieu. Annette bowiem już cierpi, gdyż matka jej, młoda wdowa, prowadzi światowe życie i zamierza powtórnie wyjść za mąż, Marie Pascal zajmuje się też małą Annette i powoli uczenica przywiąże się tak dalece do swej nauczycielki, że pani Rieu sta-

nie się zazdrosną o to uczucie. To też kiedy dziewczynka zachoruje ciężko, będzie musiała coprawda uciec się do pomocy Marie Pascal, ale po wyzdrowieniu dziecka odsunie ją brutalnie, zarzucając, iż chciała jej wydrzeć jego miłość. I złamana kobieta odejdzie z pustemi rękami, ale ze sercem pełnem wielkiej miłości, a dramatycznej, bo nieużytecznej.

SZTUKI PLASTYCZNE

SOCJALIZACJA SZTUKI

KOMUNIZM, stary żydowski komunizm, zrodzony trzy tysiące lat temu z matki — złości i z ojca — fanatyzmu, odradza się i wypełza na świat, ilekroć żydzi dochodzą do wpływów i władzy. Stroi się wtedy na modę danego czasu, bielidłami i różami się odświeża i udaje ideję młodą, najmłodszą, postępową, świat zbawić mającą, ale jego stare kły próchnieją cuchnące, jadem się ślinią, który zgorzelą trupią zaraża i zabija. Jako z ducha żydowskiego poczęty, w każdem poruszeniu swojem jest kłamstwem, w każdym skręcie — oszustwem, w każdem słowie — fałszem. Żydzi w pochodzie swym koczowniczym puszczają przed sobą tego płaza, aby im drogę torował i miejsce dla nich sposobił w narodach przez się zatruwanych i rozkładanych. W obrębie ghetta chadza ten krokodyl swobodnie po śmietnikach i mykwach, jako zwierz oswojony, nikomu ze swoich szkody nie czyniąc, albowiem jest on we własnej osobie objawieniem żydowskiego ducha narodowego. Bachorki na jego grzbiecie jeżdżą i wszy mu z łusk wydłubują.

Naczelnem jego hasłem jest socjalizowanie wszystkiego, co goje posiadają. Szeroki, bity trakt, prosto i szybko prowadzący do wyzucia danego narodu z jego bogactw materjalnych i duchowych. Socjalizacja fabryk i kopalń jest synonimem upadku wytwórczości przemysłowej. Socjalizacja środków przewozowych i łącznikowych równa się zahamowaniu ruchu. Socjalizacja handlu czyni zeń trzęsawisko, które w otchłań nędzy wsysa spożywców, oczekujących „ogonkami" dnie całe na kupno guzika. Socjalizacja ziemi staje się bezpośrednią zapowiedzią śmierci głodowej. Socjalizacja szkolnictwa sprowadza je na poziom, pod poziom suterenowych i sutenerowych chederów. Socjalizacja wszystkiego paraliżuje naród skazany i oddaje go na łatwy łup międzynarodowej szajce rabino-bankierów, która na tę chwilę w synagogach i giełdach świata w hosannach i w hossach oczekuje. Chodzi tylko o to, żeby owczarnia danego kraju weszła gromadnie na ten trakt bity i szeroki. W tym celu trzeba naprzód wyrżnąć i przepędzić jej pasterzów (zrobić rewolucję), postawić na ich miejsce swoich agentów i gnać, gnać, gnać ogłupiałe stado od socjalizacji do socjalizacji. Według tego schematu Rosja obecna zbliża się do ostatniej swej stacji. Czy dojdzie, czy znagła zawróci, gdy ujrzy na końcu drogi zwierciadlane odbicie własnego kościotrupa, tego nikt przewidzieć nie może.

Rzecz naturalna, że schemat ów musi być i jest uzupełniany mnóstwem metod i środków poszczególnych, według warunków i potrzeb czasu i miejsca, ale ogólne wytyczne są dla wszystkich krajów i okresów — te same. W Polsce dzisiaj dzieje się to samo, co w Rosji, tylko (z przyczyn innego terenu) o wiele powolniej i w formach znacznie łagodniejszych, w barwach cichszych, w maskach szczelniejszych. Nie udało się wyrżnąć, ani z kraju wypędzić inteligencji polskiej, więc się ją tępi, głodzi i dusi domowemi środkami przeczyszczającemi. Nie udaje się socjalizacja kraju, więc się go na raty wyprzedaje Żydom oraz Niemcom. Nie udaje się kolejność socjalizacji od fabryk do ducha, — można ją odwrócić i zacząć od końca, od szczytu, aby wreszcie dotrzeć do fundamentów materji. Nie udało się wysadzić Polski w powietrze, ani jej zburzyć, można ją zacząć rozbierać zwolna od góry, wzorem Soboru, na Placu Saskim ongi sterczącego. Tym sposobem stajemy wobec prób socjalizacji sztuki, jako jednej ze złotych dachówek tumu kultury polskiej.

Judoformizm, pod maskami stu różnych izmów od dziesięciu lat w Polsce grasujący, obok wielu znamion ducha żydowskiego, jak nekroforyzm, koprolalja, koprofagja, porkografja, plazmatyzm itd., posiada w sobie także ten wspólny z komunizmem pędzik niewinnie zielony, który się wyraża dążeniem do socjalizacji sztuki. Różne ona przybiera formy — od demokratyzacji społecznej aż do geometryzacji wewnętrznej, różne też przybiera imiona i hasła, ale cel ostateczny ma przed oczami jeden: wyzucie sztuki z ducha, z twórczości, z osobowości narodowej i jednostkowej. Wszystkie izmy judoformizmu dążyły i dążą do tego już przez to samo, że z furją fanatyczną narzucane są, jako dogmaty, lecz celu na czoło doktryn swoich nie wysuwały. Był on w fałdach ich szat skromnie ukryty, rozumiał się sam przez się, jako nieunikniony skutek uboczny każdego izmu. Trochę wyraźniej, a czasem niemal jawnie występował w żydowskich teorjach krytyki, gdzie, naprzykład, obrazy Matejki oceniano wyłącznie według charakteru i kierunków płaszczyzn i linij (nn. pani „Stefanja" Zahorska o Matejce w „Monografjach Artystycznych"). Wreszcie jednak przyszedł czas na bezpośrednią manifestację i powstał w malarstwie nowy, sto pierwszy izm pod nazwą „Unizm". Siedzi on w kącie jakimś, gdzie wkrótce zamrze, ale jako poszczególny objaw ogólnej akcji Syjonu jest ciekawy, więc warto jedno mu poświęcić spojrzenie.

Ukazała się w roku ubiegłym, pod względem graficznym ordynarnie i brzydko wydana, broszurka pt. „Unizm w malarstwie", przez p. Władysława Strzemińskiego kiepskim językiem i jeszcze gorszym stylem napisana. Nie wiem, czy nazwisko autora prawdziwe jest, czy zmyślone, ale graficzną szatę broszury skroił jakiś żydek warszawski, czy lwowski, więc już według tego tropu można kierunek szakalej nory wyznaczyć. Treść broszury zarysowuje się całkowicie w następującym autora okresie:

„Wynikiem dodatnim stosowania metody obliczeniowej jest objektywizacja obrazu, usunięcie sposobów indywidualnych i drgnień grafologicznych, przeniesienie punktu ciężkości na obraz, na jego prawa, na jego budowę — zamiast uzewnętrzniania na obrazie drgnień woli i temperamentu tego lub innego malarza, zamiast uzewnętrzniania takich lub innych jego gustów. Prawo budowy obrazu powinno stać ponad indywidualnością malującego. Dzieło malarza powinno zawsze być większe, niż taka lub inna natura malarza — przypadkowa i zmienna".

Klasyczny okaz teorji socjalizacji sztuki! Precz z temperamentem, wolą, gustem, indywidualnością twórcy! Precz z jego naturą — „przypadkową i zmienną"! Syjoński Komitet Artystyczny w New Yorku (Syjkomart) metodą obliczeniową opracuje cyrkularz p. t. „Prawa budowy obrazu", roześle go wszystkim Penklubom kuli ziemskiej, naznaczy cenzurę i tym sposobem zniszczy w zakresie malarstwa (przynajmniej!) nienawistne kopce graniczne między rasami, epokami, narodami, kulturami, jednostkami tych gojów twórczych, którzy inicjatywą genjusza swego i odrębności tyle na świat sprowadzają bogactw duchowych, że biednym żydkom pozostaje tylko handel i handel! A oni — biedne żydki pęczenieją od nadmiaru ambicyj, którym nie może sprostać ich starcza w dziedzinie ducha bezpłodność, ich odwieczny zastój jaskiniowy, ich beznadziejna, nieuleczalna skleroza nerwu twórczego, napróżno reklamą masowanego. Więc trzeba zabić „drgnienia grafologiczne" tak samo, jak zabija się gospodarstwa indywidualne, zapomocą socjalizacji. Malarstwo będzie jedno na cały świat pod nadzorem siódmej Międzynarodówki, kierowane geometrją Talmudu. I wtedy dopiero, na tem tle w kratkę, zabłysną talenty Kislingów, wyzwolone z pęt obcych, niższych narodowości. *Sic itur ad astram Sionis!*

Wszystko to, naturalnie, tymczasem pali się tylko w eksplodujących mózgach przewódców „narodu osobliwego“, pomiędzy szelestem dolara i bolszewickiej ulotki. Ale cel idzie przed nimi w dzień jako słup dymu czarnego, w nocy jako słup ognia krwawego, a oni wytrwale idą za słupem, sami czarno-czerwoni, jako stado hyjen i szakali — głodni, wściekli i tchórzostwem śmierdzący. Wszystko bowiem, co czynią, czynią podstępnie, fałszywie, kłamliwie, oszukańczo, cudzemi rękami, pod cudzemi nazwami, a odwaga wstępuje w nich tylko na cmentarzach, pobojowiskach, w trupich dołach, nad ciałami chorych, rannych śmiertelnie, umierających. Od trzech tysięcy lat włóczą się z komunizmem swoim za obozami cywilizacyj Wschodu i Zachodu, płaczliwem wyciem synagog wypełniają noce ludzkości, w dniach jej upadku obsiadają i zatruwają studnie jej i krynice, plugawią drogi przebyte, tumanią i podjudzają czernie ciurów i maruderów, tumulty nimi wzniecając na tyłach każdego narodu, zawsze na tyłach, a jeśli na front się przedzierają, samotrzeć, lub w pojedynkę, to nie inaczej, jak tylko w aktorskiem przebraniu prowokatorów, w teatralnej charakteryzacji szpiegów, szulerów, włamywaczów, międzynarodowych oszustów, a więc pod wystudjowaną maską lordów, dyplomatów, uczonych, pisarzów, artystów, krytyków, generałów i wszechsekretarzów.

W Polsce dzisiejszej, a w szczególności w Warszawie, pokolenie dojrzałe, które kieruje surowem jeszcze stadem społeczności, — to nie jej przyszłość, ale reszta z umarłej przeszłości, niedobitki haniebnej niewoli, cmentarzysko, istne Brudno Woli i Ochota glinianek, nieprzytomne Nalewki inteligencji, Łazienki carskich nierządów, Ujazdów karjerowiczów, Czerniaków czerni i Królikarnia papuasich królików, Bielany grobów pobielanych, Wilanów Sobie — Jana Bożego, Belweder sentymentalji, Pelcowizna szmelców cywilizacji, Grochów z kapustą kultury, Utrata obyczajów, Mokotów socjalkokotów, Czyste nieporozumienie z niepodległością, murowany Muranów Wolnych Murarzów. Łatwe żerowisko dla żydów, którzy już nawet między sobą żrą się o miejsca najlepsze, — tak się poczuli swobodnie. Kraj daleko, ale tu można już kulturę i sztukę socjalizować. Czyni się to praktycznie, nawet bez teorji unizmu, ale również bez uwagi na to, co się dzieje w szeregach młodzieży naszej — tego świeżego brzasku wiosennego nadchodzącej przyszłości...

Za widnokręgiem jeszcze słońce, ale nadejścia jego nic nie powstrzyma. Pod pierwszym snopem jego złotych strzał rozbiegnie się kłębowisko szakalów i w ziemię zapadnie się pokutujący upiór złej, chorej przeszłości.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

MAGJA

CHESTERTON, jak widzimy z „Magji“, był katolikiem w duchu, na długo przedtem zanim został nim oficjalnie. I rzecz ciekawa: bardziej niż na liberałów, tolerujących wszelkie wyłączające się wzajemnie światopoglądy, bardziej niż na pozytywistów agnostycznych, czyniących sobie busolę życiową z t. zw. „nauki“, bardziej wreszcie niż na „bigotów ateizmu“ — powstaje w swojej komedji na pragmatyzm protestancki. Jedyną osobą, na którą podnosi głos z oburzeniem, którą publicznie beszta ustami naczelnego sztuki bohatera, jest anglikański pastor — człowiek skądinąd szlachetny, ale roszczący sobie pretensje do kapłaństwa, noszący z namaszczeniem czcigodną duchowną sukienkę, głoszący ludziom morały w imię prawdy objawionej, pomimo że jest niezdolny — wskutek braku łaski sakramentalnej — do uwierzenia w cud, na który własnemi patrzył oczyma. Nie wystarcza nie być ateuszem — zdaje się mówić do anglikańskiego kleru sztuka Chestertona — żeby głosić skutecznie słowo Boże. Nie wystarcza nawet studjum teologji. Psu na budę się nie przyda wasze „łaskawe uznawanie potrzeby wiary“, czy też nawet wasze szczere pragnienie wiary, jeśli równocześnie będziecie sobie i bliźnim przyznawali prawo do wątpienia.

W Polsce protestantów mamy tak niewielu, że najmocniejsze polemiczne akcenty sztuki tracą poniekąd swoją doniosłość. Nie brak nam natomiast liberałów, agnostyków, bigotów ateizmu. Tych jednak autor „Magji“ traktuje naogół z nieobrażliwą pobłażliwością. Trudno się dziwić, iż mędrzec, jakim jest Chesterton, zamiast brać ich na serjo, zadawala się poprostu mistrzowskiem szkicowaniem karykatur. Karykatury owe — rzecz godna podkreślenia—odznaczają się brakiem absolutnym jadowitości. Są bardzo śmieszne, ale wcale nie złośliwe. Autor tak miłuje bliźnich, że stać go na sympatję dla przeciwników.

Otóż ta właśnie sympatja sprawiła, że mógł ze swojej „Magji“ zrobić arcydzielną komedję.

Bo utwór ten wcale nie jest udjalogowaną dysputą. Nie! To poemat dramatyczny. Poemat o wędrownym magiku, który się zakochał w pannie z towarzystwa. Mówił czarująco, był piękny — więc wzięła go za poetę. Nagle przekonała się, że to tylko kuglarz, który co najwyżej potrafi wyciągnąć z cylindra parę królików.

Ale magik był nie tylko kuglarzem cyrkowym. Miał on naprawdę straszny dar posługiwania się djabłami. Gdy brat panny sponiewierał jego ambicję — pokrzywdzony sztukmistrz począł wyczyniać cuda prawdziwe przy pomocy czarta.

Cuda te przyprawiły brata jego ukochanej o chorobę. Praktyczny, trzeźwy *businessman* nie mógł ani rusz zrozumieć, w jaki sposób zostały wykonane. Żeby go uzdrowić, magik musiał miłosiernie skłamać, iż wykonał je zapomocą *trick*'u. Panna jednakowoż poznała prawdę. Uznała w sztukmistrzu człowieka godnego siebie. Był przecież nietylko piękny, nietylko potężny, ale i szlachetny: ocalił przeciwnika. No i pobrali się, jak się dzieje we wszystkich prawdziwie miłosnych komedjach.

Główną rolę tej sztuki w Teatrze Nowym gra Osterwa. Gra ją — czarująco. Urok jego talentu sprawia, że zapominamy o teatrze. Poddajemy się chętnie złudzeniu, iż spędzamy wieczór w *hall*'u angielskiego dworu i bierzemy udział w prawdziwym magicznym seansie.

Doskonały jest również p. Staszkowski w roli starego, zramolizowanego arystokraty, którego cechą charakterystyczną są nieustanne lapsusy i hiatusy myślowe. Arystokrata ów, błękitnokrwisty jaśnie pan w każdym calu, jest tak liberalny, że wspiera hojnemi datkami najsprzeczniejsze cele. Postępuje jak pewien warszawski fabrykant czekolady, który podczas wyborów sejmowych subsydjował zwalczające się nawzajem organizacje polityczne. P. Staszkowski kapitalnie uwydatnia zarówno rasowość kreowanej przez siebie postaci, jakoteż sklerotyczność jej mózgu.

Panna Smosarska w roli Patrycji wygląda nienajlepiej. Jest stanowczo typem urody raczej wielkomiejskim, aniżeli wiejskim. Przytem ubiera się niewłaściwie. Szal, który wkłada w pierwszym akcie, jest bardzo stosowny dla *Miss Polonji* na *dancing*, ale któżby wkładał coś równie powiewnego na przechadzkę po omglonym parku w listopadzie!

Pan Socha również nie jest świetny. Morris powinien być chłopcem rasowym, który się powierzchownie w Ameryce zwulgaryzował. Nie należy mu jednak dawać duszy *cow-boy*'a. Wystarczyłyby okulary Harolda Lloyda, a nawet tylko manjery.

Wybornie natomiast grają pp. Biegański, Zieliński i Norski.

Dekoracja Drabika bardzo efektowna. Wydobycie złudzenia dalekiej przestrzeni na obszarze paru łokci, dzielących proscenium od „*hintergrund*'u“ jest majstersztykiem. Ale Reynolds wiszący na ścianie cokolwiek zanadto fałszywy.

S. G.

OFENSYWA

RATUJCIE KINO

POINFORMOWANO mnie, i to ze strony kompetentnej, że Radjo polskie zamiast zyskiwać nowe rzesze abonentów, zaczyna ich tracić. Od jakiegoś czasu nie zwiększają się falangi słuchaczów. Powodów tego jest kilka. Jak zawsze wszędzie, na całej kuli ziemskiej słuchacze utyskują na monotonję programową. Chcieliby mieć niespodzianki: wybuch wulkanu, połów fok, autentyczną kłótnię dwóch marszałków i t. p. Jednych nudzi pogadanka o superfosfatach, innych nie bawi p. Mościcki, Henryk, historyk, tym za dużo płyt gramofonowych, a tamtym za mało popisów grafomanów. Ci chcieliby co wieczór operetkę, tamci operę. Ci proszą o Sonny-Boya, tamci zaś chcieliby usłyszeć Bronz-Boya. Ten gatunek pretensyj do Radja notują we wszystkich miastach.

Pod jednym atoli względem godzą się wszyscy radjomelomani, t. zn. nie chcą zbytniego balastu polityki. Jeszcze jakieś pełne posiedzenie sejmowe, jeszcze jakieś ważniejsze mowy rządowe od czasu do czasu, gdy minister mówi np. o porcie w Gdyni, to i owszem. Ale natomiast wszyscy stanowczo odrzucają popisy tego pana Świtalskiego z Lodomerji. Już eksplozje jego mądrości stanu, kiedy był premjerem, nużyły swoją manjacką kłótliwością i zajadłością monomana pewnych idej. Kiedy poszedł do dymisji, zdawało się, że na jakiś czas przynajmniej powróci w swe rodzinne strony i trochę pomieszka w Galicji. Nic z tego, taki geniuszek z Jasła, czy Śniatynia jest głęboko przekonany, że bez niego Polska by się na drugi dzień zawaliła. I jak się już raz dostał taki genjalny Galileusz do stolicy, to żadnego z nich, za żadne pieniądze już by się nie dało z powrotem wytransportować. To nie to, co Clemenceau, co Briand, raz po raz wracający do rodzinnych pieleszy. Nie, on nie wyjedzie na 24 godziny z Warszawy. Bez niego nowa konstytucja nie doszłaby do skutku. On tylko wie najlepiej, co państwu potrzebne. Więc mówi o tem i mówi. Ale mówi też do mikrofonu radjowego. I publiczność musi słuchać biadolin i narzekań zadzierzystego naprawiacza Rzeczypospolitej, zionącego żółcią na tych, którzy się na zaimprowizowanym geniuszku nie poznali.

Najgorzej jest atoli teraz, odkąd ten *kingmaker* z Dobromila czy Drohobycza, odkąd ten odkrywca Batorego i Batorówki poznał t. zw. *tałkies* (film dźwiękowy). Podobno marzy p. Świtalski, żeby się dać ztalkiesować w najbliższym czasie. Za mało mu radja, chce koniecznie być sfilmowanym i mówić z ekranu i kończyć mowę odśpiewaniem pierwszej Brykady. Już nam obrzydzili radjo, już naoglądaliśmy ich w kinie, teraz jeszcze przyjdzie serja *tałkiesów* z „sanatorami“, no i gadający do narodu Przedświtalski...

POKRAKÓW

ZNÓW się popisali ci tam krajanie z dołu, z Południa. Znów gdy się czytało o tem, krew do głowy uderzała i pięście się zaciskały. Chciałoby się być olbrzymim Guliwerem, trochę się popzespacerować po ulicach i placach miasteczka rodzinnego, kilkanaście tysięcy pantoflami zgnieść a znowu drugie kilkanaście wyiskać z domów, z mieszkań i potopić gdzieś w Morskiem Oku czy Szczybskiem Jeziorze.

Był w Krakowie pogrzeb ś. p. K. Bartoszewicza. W pogrzebie wzięło udział kilkadziesiąt osób, na cmentarz doszło kilkanaście, nad grobem przemawiał tylko Przecław Smolik. Zaczem, nie kosztem miasta, nie latarnie w krepach, nie Rada Miasta w komplecie, nie szereg mów, ani dzwonów, ani orkiestry, nic. Tak Kraków pożegnał tego obywatela, co mu od czasu do czasu mówił nieco prawdy, co w służbie dla Krakowa sterał całe życie, tego, co ośmielił się zapisać swoje zbiory miastu Łodzi, a nie Krakowowi. Gdyby ś. p. Bartoszewicz był znany w całej Polsce i sławny, z Krakowa rozwrzeszczanoby jego śmierć i znów zaaranżowano pogrzeb historyczny *prima sorta*, byle gości—turystów ściągnąć i byle Wielgusy lokalne mogły się popisać. Ale że był tylko lokalną *celebritas*, więc się nie „opłaciło“. A nadto się tam w podwawelskiej dziurze wszystkim naraził. Stańczyki i Praw-I-C-A konserwatywna go niecierpiały, bo wyszydzał ich dziedziczne lokajstwo i propagandę niewolnictwa. Łyki i kołtuny go nienawidziły, bo im sypał pieprzu za skórę. Żydy go nie znosiły, bo im patrzał na ręce, kiedy Kraków zagarniały, socjaliści za „Wicka Socjalika“, oleandrusy za to, że się nie poznał na dziadku do orzechów. Prawie 60 lat Bartoszewicz pracował publicystycznie dla podwawelskiej dziury w moście. Wydawał moc pism, perjodyków, tygodników, gdy był młody, bawił Pacanów, a gdy się zestarzał, uczył i kształcił Pacanów, ostrzegał, alarmował przed zalewem żydowskim i przed gangreną Stańczykowską, ale się przeżył i odszedł zgorzkniały, umarł poprostu i z obrzydzenia do obecnej *„mentalita“* krakauerskiej. Tak samo obrzydł nowy Kraków ś. p. Fałatowi, taksamo podobno ś. p. Malczewskiemu. Sędziwy Wyczółkowski na ostatnie oby ćwierćwiecze wolał się przenieść do Poznania, gdzie gnieździ się w trzech pokojach w jakimś nowym domu, niż mieszkać w *Città maladetta.*

Nad grobem ś. p. K. Bartoszewicza przemawiał tylko w imieniu Łodzi krakowianin, też zbiegły z Krakowa, p. Przecław Smolik. Dziękował zmarłemu za wspaniałą darowiznę dla Łodzi, to jest za księgozbiór, pełen białych kruków, dzieł z XVI i XVII wieku, inkunabułów, elzewirów, pierwszych wydań z dziedziny historji i historji literatury. To, co zaczął zbierać ojciec Kazimierza Juljan, historyk literatury, to uzupełnił i dokompletował Kazimierz. Ubogi literat, fejletonista i satyryk poprostu i literalnie od ust sobie odejmował, by skupywać skarby w książkach. Wiedząc, że Kraków ma tych skarbów w bród, zapisał całość dla Wielkiej Bibljoteki Naukowej półmiljonowej, ale analfabeockiej Łodzi. Był bowiem i czuł się więcej Polakiem, niż krakowianinem. Ale za to spotkała go po śmierci zemsta Krakowa. Kolebka Enkaenu i „Sanacji“, miasto 5-tego i 25-tego listopada zbojkotowało pogrzeb swego wieloletniego radcy miejskiego i najzasłużeńszego publicysty. Pogrzeb uroczysty się „nie opłacił“. Marzą tam teraz znów o takich festynach żałobnych, przy których możnaby coś tak zarobić i coś się popisać; chce im się Chopina na Wawel, Malczewskiego na Skałkę, Matejkę do Panny Marji... niektórym zawodowym pogrzebaczom, aż ślina cieknie na myśl o jeszcze jednym wielkim „pogrzebie narodowym“ jeszcze żywego nieboszczyka.

Cóż się im tedy dziwić krakauerom illustrowanym, że zbojkotowali biednego Bartoszewicza. *La Città maladetta.*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Sanacja“ ma wiele wyrozumienia dla Niemców, ale przecież są rzeczy, które ich muszą u Niemców razić. Mianowicie sknerstwo, gdy chodzi o potrzeby domowe. Z dzienników można się było dowiedzieć, że prezydent Rzeszy Niemieckiej Hindenburg dysponuje tylko dwoma samochodami. Szczegół ten, przypominający oszczędność Fryderyka Wielkiego, musi razić w Polsce. Jak wiadomo bowiem ze statystyki samochodów („Szczerbiec“, nr. 2) Prezydent naszej Rzplitej ma 22 samochody osobowe, Generalny Inspektor Sił Zbroj. — 50 wozów osobowych, Dow. Okręgu Warsz. 17 i t. d. Minister Piłsudski ma 5 Cadillac'ów, a p. ministrowa Piłsudska jeden. Dziwna rzecz, że naród tyle razy od nas bogatszy, nie umie stanąć na właściwym stopniu kultury. Brak — rozmachu twórczego...

*

W komisji budżetowej sejmu minister poczty i telegrafu p. Boerner wygłosił mowę w obronie poprzedniego ministra Miedzińskiego, a każdy ustęp tej mowy, podzielonej na punkty według zarzucanych faktów, kończył się wymownym refrenem:

— Zresztą sprawa ta jest w rękach sędziego śledczego.

Jak na radosną twórczość refren dość zgrzytliwy.

*

Wśród wielkich, wciąż nierozwiązanych zagadnień ustrojowych, gospodarczych i t. d., przed jakiemi stoją rządy „pomajowe“, pośród ciągle rosnących trudności w polityce wewnętrznej i zagranicznej, p. premjer Bartel zwrócił uwagę na potrzebę... najpilniejszą. Oto, jak donosi żydowski „Nasz Przegląd“ (nr. 30) p. prezes Rady Ministrów „wystosował do kierownika minist. spraw., p. Dutkiewicza, pismo w sprawie projektu zniesienia dawnych ograniczeń wyznaniowych, które pozostały w ustawodawstwie polskiem w dziedzictwie po zaborcach... P. premjer Bartel prosi ministra Dutkiewicza o podjęcie w Sejmie odpowiednich starań o przyspieszenie prac nad tym projektem w Komisji Konstytucyjnej“...

Komisja Konstytucyjna zajęta jest właśnie rozpatrywaniem projektów zmiany Konstytucji Rzplitej. Od trzech lat zgórą politycy i publicyści „sanacyjni“ powtarzają do znudzenia, że ta właśnie sprawa naprawy ustroju Państwa jest ze wszystkich spraw najpilniejsza, niecierpiąca zwłoki, paląca... Tymczasem okazuje się, iż naprawę Konstytucji można... odłożyć. Trzeba bowiem przyspieszyć zniesienie ograniczeń dla Żydów.

*

Rekord w pozbywaniu się skrupułów moralnych w błąkaniu opinji zdobył „Czas“ krakowski, stając w obronie funduszów dyspozycyjnych, o których przecież wie, jak były nadużywane. Szczególnie go boli fundusz M. Spraw Zagr. Kontrolowanie go nazywa „wsadzaniem nosa“. Strach obleciał prasę „sanacyjną“, która bez zapomóg z funduszów dyspozycyjnych istniećby nie mogła. Gdyby „Czas“ miał czytelników i z nimi się liczył, nie pozwoliliby mu igrać groszem publicznym.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.